Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI

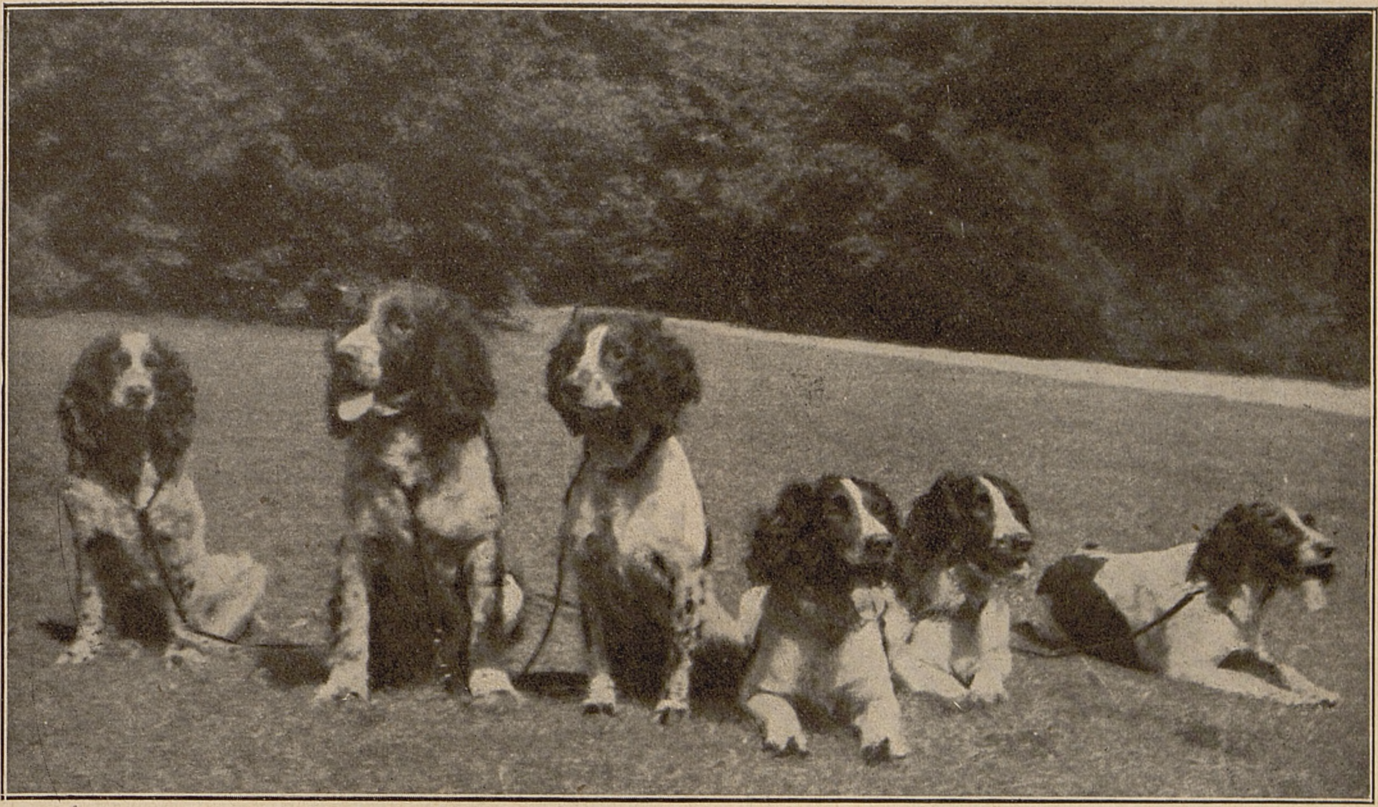


Na rykowisku jeleni w Karpatach. Smerek p. Dydyńskiego w Beskidzie Wysokim. Fot. W. Woyniewicz.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 33 (845) 20 LISTOPADA 1936 R.



Psiarnia „Lwa" Izabelli ks. Radziwiłłowej z Mańkiewicz.

Odezwa do Braci Myśliwych.

W łączności z ogólnospołeczną akcją w całym kraju,ześrodkowaną w dążeniu do ulżenia doli bezrobotnym współobywatelom w okresie najcięższych do przetrwania miesięcy zimowych, — za przykładem Pierwszego Myśliwego Rzeczypospolitej, Pana Prezydenta Prof. Ignacego Mościckiego, który przeznaczył zdobycz myśliwską z jednego ze swych polowań (w lasach nadl. Lutówko na Pomorzu), jako ofiarę w naturze dla bezrobotnych, —

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich apeluje do wszystkich zrzeszonych stowarzyszeń, jak również poszczególnych myśliwych i hodowców o składanie ofiar na ten cel w postaci ubitej na polowaniach zwierzyny i wyraża nadzieję, że i w tej dziedzinie gospodarczej i sportowej znajdą się liczni ofiarodawcy, którzyby pragnęli, by imię polskiego myśliwego zostało złączone z akcją Ogólnopolskiego Obywatelskiego Komitetu Zimowej Pomocy Bezrobotnym.

Jednocześnie dodajemy, że ofiarowaną zwierzynę należy składać w najbliższych Powiatowych i Miejscowych Obywatelskich Komitetach Zimowej Pomocy Bezrobotnym.

Wszystkich ofiarodawców prosimy o zawiadamianie Związku o ilościach przekazanej tym Komitetom zwierzyny.

Wydział Wykonawczy
Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich

Pomoc zimowa a łowiectwo.

Kończą się roboty publiczne, finansowane przez Fundusz Pracy, oraz roboty sezonowe, prywatne, państwowe i samorządowe. Przeszło miljon ludzi odpędzi mróz od pracy i pozbawi ciepłej strawy wtedy, kiedy im ona najwięcej potrzebna.

Nam myśliwym ten mróz przynosi najmilszą porę rozrywek myśliwskich, kiedy zaczyna się sezon polowań, zapowiadający się bardzo pomyślnie. Czekają nas dnie pełne emocji, okraszone staropolską gościnnością, nadgrodzone za miłe trudy pokotem ubitej zwierzyny — w tym kraju, zwanym rajem myśliwych.

Datek na pomoc zimową doda tym pięknym dniom uroku, dobrze spełnionego uczynku wobec bliźnich. Opodatkujmy się w tym sezonie na pomoc zimową w wysokości 10% zdobyczy myśliwskiej!

Datki przyjmuje Redakcja.

A. ULM.

UROCZYSTOŚCI KU CZCI ŚW. HUBERTA W NIEMCZECH.

W cichy, jesienny, szary dzień, gdy ziemia przed zimowym spoczynkiem przykrywa się całunem pożółkłych liści, wypadło mi niespodziewanie łącznie z pp. M. hr. Potockim i inż. H. Knothe wziąć udział w uroczystościach ku czci św. Huberta, urządzanych po raz pierwszy na terenie Rzeszy Niemieckiej pod protektoratem prezydenta ministrów Hermanna Göringa.



Wieniec jelenia, ubitego podczas rykowiska 1936 r. przez p. J. Regulskiego w Sołotwinie Mizuńskiej. Foto-Arte.

W towarzystwie dość licznie przybyłych gości zagranicznych wyjeżdżamy z Brunszwiku autokarem na Hainberg, gdzie mają odbyć się uroczystości. Cała droga, długości około 60 kilometrów, udekorowana flagami trzeciej Rzeszy, robi na nas myśliwych wrażenie ofladrowanego terenu, w którym zgromadzona na drodze młodzież i różne organizacje chcą jak najdłużej zatrzymać w swem środowisku jedną z najpopularniejszych postaci Rzeszy, a zarazem twórcę nowego prawa i porządku łowieckiego.

Droga z początku wolna, w miarę zbliżania się do miejsca przeznaczenia, zaczyna się robić trudną do przebycia, gdyż setki aut i autobusów z różnych stron wiozą brać myśliwską, żądną zapowiedzianego widowiska i wysłuchania okolicznościowego przemówienia najbardziej w sprawach łowieckich miarodajnej osoby. Dojechać do miejsca nie sposób, wysiadamy więc i już pieszo wśród tłumu publiczności dostajemy się do trybuny prezydenta ministrów, położonej na wzgórzu leśnem, u stóp głębokiego wąwozu. Całe wzgórze jest usiane tłumem publiczności, przeważają mundury łowieckie, straży lesnej i wszelkich formacji wojskowych.

Z drugiej strony wąwozu, wśród starego lasu — urwisko skalne, a na niem starożytny zamek myśliwski. U podnóża tego zamku, na naturalnej scenie skalnej, przypominającej średniowieczną pieczarę, mają się za chwilę zacząć uroczystości hubertowskie.

Dwudziestokilkotysięczny tłum trzykrotnym okrzykiem „Heil" wita wchodzącego na trybunę Wielkiego Łowczego, podniesione do góry ręce w spontanicznym bezruchu nadają temu powitaniu wyraz specjalnego uznania i na tle przepięknej natury wywołują imponujące wrażenie.

Fanfary, odegrane na trąbach, których echo rozlega się szeroko po całym ostępie leśnym, poprzedzają rozpoczęcie właściwej uroczystości, na którą składa się specjalnie na dzień ten przygotowana sztuka Fr. A. Kerzla, w 4 obrazach, przedstawiająca myślistwo w jego najszlachetniejszych formach, od prastarych czasów aż do dnia dzisiejszego. Przepiękne warunki naturalne, doskonała gra aktorów brunszwickiego teatru w strojach różnych epok, działają podniecająco na naszą wyobraźnię. Wsłuchując się w doskonale dostosowaną do natury muzykę, jak i w odgłosy otaczającej nas kniei, mimowoli zaczynamy pilnie śledzić, czy z pobliskich ostępów nie dojdzie uszu naszych potężny ryk jeleni, głuchy stęk łosia, lub złowrogi skowyt wilka.

Z końcem widowiska pierzchły złudzenia. Na trybunę wkracza minister Alpers, aby powitać prezydenta ministrów Göringa i przybyłych gości zagranicznych, poczem następuje kulminacyjny moment uroczystości, najbardziej przez tłumy oczekiwany, t. j. mowa premjera Göringa.

Wielki Łowczy Rzeszy stoi na stanowisku, że stworzono dla myśliwych prawa i przywileje łowieckie nakładają na nich i obowiązki, gdyż myśliwi nie są właścicielami borów, ani znajdującej się w nich zwierzyny, lecz jedynie powiernikami dóbr, stworzonych przez Boga. Lasem i zwierzyną Bóg obdarzył człowieka i dlatego też ani lasu, ani tego co w jego ostępach się ukrywa nie wolno niszczyć, lub tępić bezmyślnie. Myśliwy, który chce naprawdę zażywać rozkoszy łowieckich, musi stać jak żołnierz na posterunku, w obronie powyższych zasad, a o osobistych radościach łowieckich powinien myśleć dopiero naostatku. Bezwzględna ochrona matek, opieka nad zwierzyną w czasie mrozów lub głodu, podniesienie istniejących zwierzostanów, racjonalny odstrzał zwierzyny — oto kardynalne zasady, które Wielki Łowczy Rzeszy wpajał z wielką swadą i przekonaniem w dusze swoich słuchaczy. Łowiectwo w dzisiejszych Niemczech, według opinji mówcy, jest potężnym czynnikiem gospodarstwa narodowego. Rozmiary zainicjowanej przez niemieckich myśliwych akcji zimowej na rzecz bezrobotnych są wymownym tego dowodem. Dlatego też podniesienie zwierzostanów i ochrona zwierzyny musi być traktowana, jako specjalny nakaz chwili.

Huraganowe owacje na cześć prezydenta ministrów zakończyły tę część uroczystości, poczem nastąpiło na zameczku myśliwskim przyjęcie dla gości zagranicznych i dla wybitniejszych osób z niemieckiego świata łowieckiego. Na przyjęciu tem prezydent ministrów Göring zaznajomił zebranych ze szczegółami, dotyczącemi urządzenia wielkiej Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej, która ma odbyć się w Berlinie w 1937 roku. W przemówieniu swem, skierowanem głównie do przedstawicieli obcych narodowości, prezydent ministrów zachęcał do poparcia jego inicjatywy, której realizacja da łowiectwu całego świata wielce pouczający materjał i będzie zarazem wielkiem międzynarodowem świętem łowieckiem.

W drodze powrotnej do Brunszwiku czekał nas myśliwych interesujący pokaz wskrzeszonego w Niemczech polowania z sokołami i gołębiarzami, które równie dobrze jak sokoły nadają się do celów myśliwskich. W ciągu niespełna pół godziny tresowane ptaki schwyciły trzy wypędzone z remiz koguty bażancie, dwa króliki, wypchnięte z nor przez fretki, jedną kuropatwę i jedną wronę. Krótki ten pokaz, w czasie którego stwierdziliśmy absolutną bezbronność zwierzyny wobec tych ścigłych drapieżników, był dla nas zarazem pouczającym dowodem, jak wielkich spustoszeń dokonywa w zwierzostanie ptasim sokół wędrowny, lub jastrząb-gołębiarz, o ile teren nie posiada dobrze zakrzewionych remiz, albo innych naturalnych kryjówek. W czasie pokazu tylko jeden bażant i jeden królik uszły z życiem, dopadłszy przed uderzeniem sokoła leśnej gęstwiny. Jest rzeczą wielce charakterystyczną, że schwytana przez sokoły zwierzyna nie usiłuje bronić się ani wyrywać, a śmiertelnym uderzeniom dzioba poddaje się z zupełną rezygnacją, spowodowaną prawdopodobnie przez umiejętny i obezwładniający chwyt szponów.

Zakończeniem uroczystości hubertowskich było wielkie przyjęcie na wspaniałym brunszwickim ratuszu, urządzone przez rząd brunszwicki i miejscowego burmistrza na cześć Wielkiego Łowczego Rzeszy, który witany był owacyjnie przez władze miejscowe, oraz przez tłumnie zebraną publiczność. Pięknie oświetlone pochodniami i rozłożony na placu ratuszowym pokot jeleni, dzików, sarn, zajęcy i bażantów, przeznaczonych na pomoc zimową, uzupełniał doskonale przebieg i intencje uroczystości.

Prezydent ministrów, a zarazem Wielki Łowczy Rzeszy, przemawiał tam dwukrotnie: raz do zgromadzonych na placu ratuszowym tłumów, drugi raz na sali do kolegów myśliwych oraz do obecnego na uroczystościach prezesa Międzynarodowej Rady Łowieckiej p. Ducrocq'a, którego w uznanie jego zasług mianował członkiem honorowym Niemieckiego Związku Myśliwych. Prezes Ducrocq odpowiadał prezydentowi ministrów, dziękując serdecznie za okazany mu honor, jak i za wspaniałą uroczystość myśliwską, obiecując w miarę sił i możności poprzeć powstałą w Niemczech inicjatywę urządzenia wielkiej Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w roku 1937.

Przeciągająca się do późnej nocy wspólna biesiada i wymiana poglądów na cały szereg aktualnych zagadnień łowieckich pozostanie miłem wspomnieniem dla bawiącej tam delegacji polskiej, tem milszem, że byliśmy tam wyjątkowo gościnnie podejmowani, a przypięte do mundurów najwyższych dostojników łowiectwa niemieckiego odznaki myśliwskie, ofiarowane przez p. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, były widomym znakiem uznania i wyróżnienia łowiectwa polskiego.



Parostki rogacza ubitego przez p. A. Bądzyńskiego w Radziwiłówce (Nadniemieńskie Kółko Łow.) 14.IX. 1936 r. Waga 517 gr.

Drugiego dnia po uroczystościach odbyło się specjalne zebranie z udziałem delegatów: Austrji, Bułgarji, Czechosłowacji, Danji, Egiptu, Francji, Italji, Jugosławji, Luxemburga, Polski, Rumunji, Szwecji i Węgier, poświęcone zagadnieniom, związanym z projektowaną na rok 1937 Międzynarodową Wystawą Łowiecką.

Do sprawy tej na łamach „Łowca Polskiego" powrócimy niebawem.

ANDRZEJ ŚLIWIŃSKI.

W szarzyznę pól.

Jesienny wiatr potrąca zwiędłe liście,
skowyty jego w pustych polach jęczą...
Deszczowe krople perlą się srebrzyście,
klejnotem zdobiąc wiotką nić pajęczą
i mieniąc się wyblakłą, bladą tęczą...

Cichaczem, brózdą szare ciekną kury...
Zgłodniały lis myszkuje na ściernisku.
A poprzez chmury ciężkie i ponure,
co wloką się nad łzawą ziemią nisko,
nieśmiałe słońce swym uśmiechem błyska.

Spłoszony deszczu szumem i bębnieniem,
pomyka szarak z lasu w puste pole,
rozstając się z przytulnym krzewów cieniem.
Łzy ronią chmury, ciągnąc się powoli,
zawodzi wiatr jękliwą pieśń niedoli.

Zawodzi wiatr, lecz serce tętni raźniej —
— i w dal ruszamy — wprost w objęcia słoty.
Roją się wówczas w barwnej wyobraźni:
szaraki... kury... ławy... kotły... mioty...
W szarzyznę pól nas woła zew tęsknoty...

W. L. VON FALKENAU.

NIECO O WABIARZACH.

Chciałbym podnieść tutaj pewną bolączkę, która trapi nasze Kresy Wschodnie.

Od czasu odrodzenia Polski Dyrekcja Lasów Państwowych i poszczególni właściciele lasów prywatnych robili co mogli, aby uratować te niedobitki łosi, które po wojnie znaleźli.

Nie będę tu wchodził w sprawę rozmnożenia się łosi, ale skoro dzisiaj zbieramy rezultaty naszej pracy w formie prawidłowego odstrzału tego pięknego zwierza w czasie jego rui, chcę się nad tem zatrzymać.

Spotykając myśliwych, którzy polują dzisiaj na łosie, lub organizatorów tych polowań, zawsze słyszę utyskiwanie na absolutny brak wabiarzy, nieodzownych przy tem polowaniu.



Hieronim ks. Radziwiłł z rosochami łosia, zabitego podczas tegorocznego wabu w Ordynacji Dawidgródeckiej Karola ks. Radziwiłła.

Nie mamy wabiarzy — tak określiłbym dzisiejsze położenie. Jest to bardzo zrozumiałe.

Dawniej z ojca na syna szła ta nauka. Byli dobrzy wabiarze, przy nich uczyli się ich synowie, tak że w każdej okolicy, gdzie były łosie przed wojną światową, byli także lepsi lub gorsi wabiarze.

Ale nastąpiła luka od roku 1914 do dnia dzisiejszego, wojna wielka i nasza zupełnie rozgromiły ten typ ludzi. Synowie poszli na wojnę, gdzie ich nauczyli czegoś zupełnie innego, a starzy pomarli, lub niezdatni się stali z powodu głuchoty i nogi im już nie dopisują.

Dawniej więc przy tej ciągłości było łatwiej i napewno dzisiejszy mój artykuł byłby niepotrzebny.

Po wojnie pozostało w Polsce dwóch lub trzech starych wabiarzy, którzy byli jeszcze zdatni do polowania i zdawało się, że przecież przy nich mogłaby nauczyć się młodzież. Sprytni ci ludzie jednak odrazu zrozumieli, że nie opłaci się mieć konkurencji ze względów czysto praktycznych i finansowych. Nie dziwię się im wcale, ale dlaczego my myśliwi mamy nad tem przejść do porządku dziennego?

Wabić jest rzeczą nadzwyczaj trudną, choć dla laików może się to wydawać rzeczą łatwą. Trzeba na to mieć następujące warunki:

1) ucho muzykalne; 2) zdrowie; 3) bardzo dobry słuch; 4) rozumienie manewrów.

Przejdę tu każdy punkt pokolei, aby je objaśnić i dać pojęcie o wszystkich trudnościach.

Według mnie, kandydat na wabiarza, mający dajmy na to muzykalne ucho i wyczucie rytmu, przed rozpoczęciem nauki powinien usłyszeć w puszczy kilkanaście razy wabiące się łosie.

Łosie wabią się na różne głosy, ale w ich wabie jest pewien trzon, który kandydat na wabiarza musi uchwycić.

Dajmy na to dalej, że udało mu się mieć odpowiednią trąbkę i dobrze raz lub dwa zawabić, nie zmieniając tonu i jego długości. To mało; taki kandydat musi 50 razy zawabić tak, aby od pierwszego do ostatniego razu zawsze głos wyszedł jednakowy.

Naprzykład fałszywym sposobem jest wabienie przy nabraniu powietrza z policzków.

Wabić trzeba z gardła. To znaczy, że trzeba sobie „wyłamać" gardło, co u niektórych ludzi jest niemożliwe i wtenczas zawsze przychodzi zmiana tonu.

Oprócz tego kandydat powinien umieć naśladować „chrop" łosia i łoszy (leży w tem pewna różnica).

Nie mówię już tutaj o nauczeniu się naśladowania rujki, gdyż to są najwyższe szczeble edukacji wabiarza. Ja w mojej długoletniej praktyce myśliwskiej znałem tylko trzech, którzy potrafili udawać rujkę. Jest to jednak nadzwyczaj korzystnem, gdyż łoś, który jest sam, gdy usłyszy rujkę, pędzi na nią zwarjowany.

Drugi punkt to zdrowie. Jest to chyba zorzumiałe. Człowiek trochę słaby na płuca już wabić nie może, gdyż po kilkorazowym wabie zaczyna kaszlać, drapie go w gardle.

Trzeci punkt to dobry słuch. Wabiarz musi mieć doskonały słuch z różnych przyczyn. Nie będę się tu niemi zajmować, gdyż zajęłoby to dużo czasu, a jest samo przez się zrozumiałem.

Czwarty punkt to zrozumienie manewrów. Jest to rzecz nietrudna, której można nauczyć.

Każdy łoś idzie na wab inaczej. Niektóre wprost, a stare, mądre często kołują, starając się domniemanego rywala dostać pod wiatr, toteż wabiarz musi w lot zrozumieć sytuację i oddalić się w odpowiednim kierunku, aby go wabem nawrócić.

Oprócz tego jest wiele innych rzeczy, które wabiarz musi wiedzieć.

Z tych kilku słów, które tu skreśliłem, widać więc, że te wszystkie trudności są do przezwyciężenia, ale czyż mamy opuszczać ręce twierdząc, że „jakoś to będzie"?

Przyszła mi na myśl następująca koncepcja, którą proponuję Polskiemu Związkowi Stowarzyszeń Łowieckich do zrealizowania.

W przyszłym roku latem, najlepiej przed samem posiedzeniem Sekcji Ochrony Łosia, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich urządzi jednodniowe lub dwudniowe konkursy dla wabiarzy i kandydatów.

Nagrody powinny być pieniężne.

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich uda się do odpowiednich władz państwowych i urządzi ten konkurs gdzieś na terenach wschodnich, przy nadleśnictwie państwowem. Ja osobiście proponuję Iwacewicze, gdyż leżą przy kolei i na szosie.

Konkurs polegałby na tem, aby jury wybrało 2 lub 3 najlepszych wabiarzy. Należałoby utrwalić na płycie gramofonowej na miejscu w lesie najlepszy wab. Będzie to miało kolosalne znaczenie dla ułatwienia

dalszej nauki młodym, gdyż, puszczając płytę u siebie w domu, kandydat taki zawsze będzie mógł przy niej głos swój nastawiać i uczyć się.

Ja osobiście, o ile dany zjazd doszedłby do skutku, gotów jestem napisać podręcznik, czyli „ewangelję" dla wabiarzy i oprócz tego zademonstrować na terenie charakterystyczne sceny zachowania się pseudo łosia-wabiarza i myśliwego.

Na ten zjazd powinni gremjalnie przyjechać wszyscy myśliwi, którzy polują teraz w Polsce na łosie, ofiarując nawet niewielkie kwoty na nagrody w konkursach, gdyż przytem z pewnością nadzwyczaj skorzystaliby i nauczyli się rzeczy, o których nigdy nie słyszeli.

Kończę więc ten mój artykuł i jako pierwszy zwracam się do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, aby przychylnie rzecz tę rozpatrzył.

KAROL RADZIWIŁŁ

KAPELUSIK OLA.

— Sylwetkę myśliwego uzupełnia nieodzownie właściwy kapelusik — rozważał Olo, wstępując do pierwszorzędnego magazynu w skwarne lipcowe południe.

— Czem możemy służyć Panu Dyrektorowi?

— Ano, dajcie jakiś kapelusik, coby się do lasu nadawał.

— Mamy właśnie najświeższy tarnsport oryginalnych angielskich...

*

Po poobiedniej drzemce Olo, właściwie uzupełniony twarzowym kapelusikiem (z piórkiem), rozłożył swe kształty w wygodnym wozie i pozwolił unosić się szybko po doskonałej żwirówce w kierunku rewiru, gdzie miał przez administrację leśną przyobiecanego kapitalnego szóstaka. Nowiutki, świetny sztucer, ostatnie słowo techniki, zaopatrzony w 4-o krotnego Zeissa, drzemał w eleganckim skórzanym futerale.

*

Na skrzyżowaniu dróg oczekiwała Jego Znamienitość Ola administracja rewiru w komplecie: nadleśny, stary wyga, leśniczy, pojętny uczeń swego przełożonego, oraz dwóch gajowych, wreszcie lekki wózek, zaprzęgnięty w parę okrąglutkich gniadoszów.

Nadleśniczy w obecności Ola odebrał raporty od gajowych: kapitalny szóstak posłusznie oczekiwał wyroku, pasąc się codziennie wieczorem na łące w oddziale V, a drugi mało ustępujący mu rogacz zwykł był odbywać wieczorną przechadzkę po zrębie w oddziale VIII.

— Osiem a pięć: trzynaście — pomyślał Olo, choć twierdził zawsze, że nie jest przesądny.

Jęknął nieco wózek, przejmując na swoją odpowiedzialność znakomitą osobę Ola. Stłumił jednak szybko cierpienie i z przepisową godnością począł obwozić Ola po drogach i linjach leśnych. Minęło pół godziny, potem jeszcze godzina. Coś się psuć poczęło „w państwie duńskiem". Ani na łące w oddziale V, ani na zrębie w oddziale VIII, (pięć a osiem psiakr....) rogacza nie było widać. Tylko kozy z zaciekawieniem podnosiły głowy, spokojnie przypatrując się wypełnionemu po brzegi wózkowi. „Pięć a osiem, osiem a pięć", powtarzał w duchu Olo, ale jednocześnie zatracał zaufanie do leśników, podejrzewając jakiś podstęp. Ot, umyślnie obwożą go po beznadziejnych oddziałach, byle się tylko go pozbyć.

Jego Znakomitość trochę głośniej zaczynała wyrażać swe myśli, co oczywiście dotknęło leśników, ale i oni byli wytrąceni z równowagi ducha: aby dwa pewne rogacze odrazu zawiodły, to naprawdę trzeba pecha.

— Pięć a osiem, pięć a osiem, razem trzynaście pików w jednem ręku, to jest nic, psiakrew, tylko pech, obrzydliwy pech! — jęczał w duchu Olo. — A jednak mogłem wygrać tego szlemika wczoraj.

— Jest! — obudziło Ola.

— Gdzie?

— Stoi tam, pomiędzy temi wysokiemi sosnami! Olo zlazł z wózka, za nim nadleśny.

— Gdzież ten rogacz?

— Tam, pomiędzy sosnami.

— Głupstwa gadacie, nie widzę.

— Ależ jest, o teraz posunął się parę kroków.

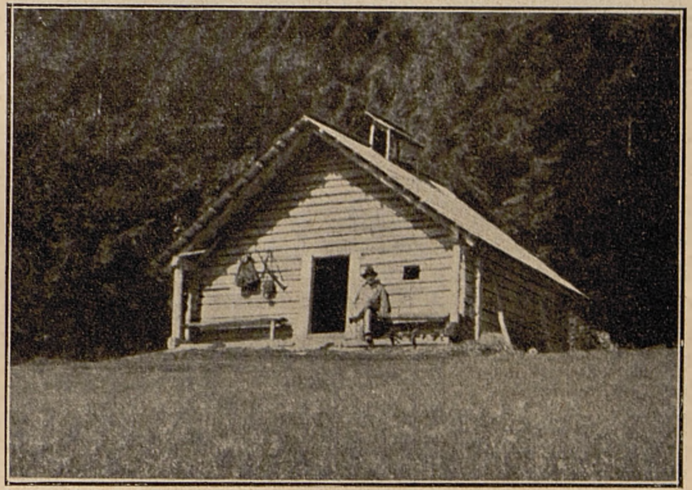
— A jest, rzeczywiście, ależ to daleko, szkoda strzelać.

— Gdzież daleko, niema więcej, jak 100 kroków.

— Zwarjowaliście? Więcej jak 200 metrów, co mnie nabieracie!

— Ależ Panie Dyrektorze, to nie jest wcale daleko, proszę się śpieszyć, bo rogacz zaraz pójdzie, taka druga sposobność może się prędko nie zdarzyć.

Oparł się Olo o drzewo; mierzył długo, strzelił i... rogacz znikł po strzale, jak kamfora, gdzieś tylko z gąszczu wyrażając swe zdziwienie donośnem beknięciem.



Koliba na Herbie.

— Żeby was wszyscy djabli, po co namawialiście mnie na strzał? Sensu nie miało!

— Panie Dyrektorze, to przecież zupełnie normalny strzał, jeżeli nie wierzy Pan, to proponuję zakład: powiesimy pański kapelusz o 100 kroków dalej, niż stał rogacz. Strzelimy każdy z nas dwa razy. Jeżeli w kapeluszu nie będzie 4 kul, to odkupimy kapelusz i prosimy na kolację. Jeżeli 4 kule będą, to kapelusz przepada i kolacja pańska.

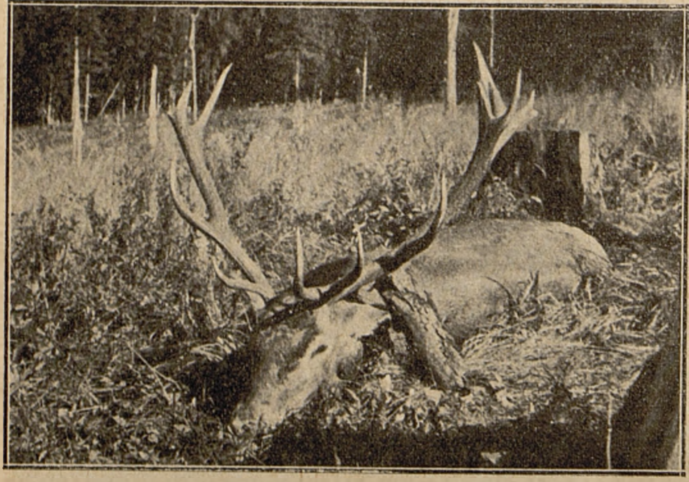
Olo zgodził się ochoczo, pewny kompromitacji leśników. Odmierzono rzetelnie odległość, kapelusz (nowiuteńki, ostatni model, z piórkiem) powieszono na 150 cm nad ziemią. Padły cztery strzały. Sam Olo idzie sprawdzić wynik. Spojrzał na kapelusik (nowiuteńki, z piórkiem), zaklął, a wracając obliczał, ile punktów kosztowało go dzisiejsze popołudnie.

— Pięć a osiem, osiem a pięć... ach, żeby to trzynaście pików w jednem ręku!... Odbiłby się...

Dr. JERZY BŁESZYŃSKI.

WSPOMNIENIA Z LWOWSKIEJ WYSTAWY ŁOWIECKIEJ.

Pomimo zmiennej pogody i nie zawsze ciepłej aury, a przy końcu tak zimnej, że poczciwy ludek lwowski powyciągał kożuchy i futra ze skrzyń i szaf, to przecież wrzesień był dla Lwiego Grodu miesiącem gorącym. Po tych wszystkich kulturalnych ewakuacjach, które nadpełtwiańskiemu miastu dużo krwi utoczyły, Lwów odżył i nabrał rozpędu. Ożywienie to wniosły Targi Wschodnie, które z każdym rokiem rozwijają się tak pod względem ilości wystawców, jak i zwiedzających. W tym roku, jak zapewniają, a ja temu wierzę, przeszło 200.000 osób przesunęło się przez pawilony Placu Powystawowego, wśród których dawny pawilon centralny, a obecnie dziesiąty, był domeną naprawdę ciekawej, rzekłbym — rewelacyjnej nawet wystawy łowieckiej. Trwała ona jeszcze dwa tygodnie po zamknięciu Targów i w dalszym ciągu była zwiedzana przez swoich i obcych.



Nieprawidłowy osiemnastak, ubity przez p. J. Strzeleckiego w rewirze Smorze, Fund. Skarbków, w dn. 16.IX.1936 r.

Zwiedzanie Targów, jak zresztą każdej wystawy, rozmieszczonej w licznych budynkach, odbywa się w ten prosty sposób, że człek z laską pielgrzyma chodzi po wszystkich pawilonach, zaczynając od pierwszego, a kończąc na ostatnim. Potem dopiero wraca niekiedy do tych eksponatów, które go bliżej interesują. Gdy pomyślimy, że 200.000 z dobrym czubem różnorodnego luda przedefilowało także przed wspaniałymi eksponatami polskich rycerzy św. Huberta, to stwierdzić musimy, że urządzenie tej specyficznej wystawy właśnie w ramach Targów Wschodnich, miało doniosłe znaczenie dla propagandy prawidłowej gospodarki łowieckiej, o której większość społeczeństwa ma całkowicie spaczone pojęcie. Dowodem tego jest choćby głos, jaki niefortunnie zabrała na łamach Dziennika Polskiego [1]) jego recenzentka sztuk plastycznych p. J. Kiljan Stanisławska, pokpiwując sobie z myśliwych i zarzucając im, że mogą wieszać na wystawie skóry wilcze, niedźwiedzie czy też tygrysie głową na dół; obrażając się, że wypchany ryś Jerzego hr. Potockiego wisi na sznurku na jednej łapie, a preparator tak to zwierzę wypchał, że w oczach i otwartej paszczy jego zamknął bolesny jęk. Nie dobrze jest mieć zbyt czułe serce, tem bardziej, gdy ono się objawia tylko na szpaltach dziennika. Dobrze się stało, że Szanowna Autorka, przyczepiająca polskim myśliwym takie brzydkie łatki, jak „bohaterscy myśliwi", „jatki", „scalpy" i t. p., nie zwiedzała przed dwoma laty Pokazu Trofeów Łowieckich w Warszawie, bowiem na widok wypchanej wrony, rozdzierającej młodego zajączka, jak to często dzieje się w przyrodzie, mogła była mieć kłopot z własnym serduszkiem, i żal do tych myśliwych bez serca...

[1]) Dziennik Polski, Lwów 17 września 1936.

Niesmaczne te conajmniej i nieistotne wynurzenia p. Kiljan Stanisławskiej spotkały się z natychmiastową ripostą prof. R. Wacka w artykule „Ślepy o kolorach" [2]). Ach ten Wacek, ten Wacek! To lwowski zbereźnik, z grubą Bertą wyjechał przeciw słabej istocie, która zapewne już nigdy nie wejdzie na obcy dla niej teren parafii św. Huberta. Nie pomogło też Autorce usprawiedliwianie się [3]), otrzymała w dalszym ciągu reprymendę od Zdzisława Stahla w artykule „Płaczmy, jedząc cielęcinę..." [4]) i od Mieczysława Piszczkowskiego [5]), który oględnie zaznaczył, że Autorka „okazała niezrozumienie dla charakteru i dla dodatnich stron myślistwa". Cała ta polemika znalazła też odbicie w doskonałym feljetonie Henryka Zbierzchowskiego p. t. „Jesień lwowska" [6]).

O ignorancji myśliwskiej naszego społeczeństwa pisać można tasiemcowe artykuły. Kiedyś zdawało mi się, że są to rzeczy nie do darowania, dziś jednak, po tem, co mnie spotkało na wystawie lwowskiej, rozgrzeszam pośpiesznie wszystkich ignorantów i nieuków myśliwskich. Oprowadzając wycieczki szkolne i objaśniając młodzieży ważniejsze eksponaty, byłem często interpelowany przez zwiedzającą publiczność, szczególnie przez panie, które ponoć odznaczają się zwiększoną ciekawością. Jedna z nich, wskazując na wypchaną postać całego d z i k a - o d y ń c a, ubitego w Koropcu, zapytała mnie czy to jest ż u b r. W oka mgnieniu poczułem, że moje nogi zamieniają się w galaretę i siadłem w pełnym galopie na podłoge-beton. Następnego dnia byłem już bardziej otrzaskany z ogniem nieprzewidzianych pytań, więc gdy znów jedna z pań, oglądająca sam wachlarz g ł u s z c a, prosiła mnie o zadecydowanie, czy to jest ogon t c h ó r z a, dostałem już tylko boleści we wnętrzu.

Lecz to nie wszystko, mam jeszcze jeden kwiatek wonięjący: u w e j ś c i a na wystawę leśną umieszczono kolosalnego, mającego groźną postawę — ż u b r a białowieskiego, wyłaniającego się z jodłowego lasu. W i d o k t e g o b y ł e g o p o t e n t a t a p u s z c z n a s z y c h r o b i ł p o t ę ż n e w r a ż e n i e i odpowiednio nastrajał zwiedzających ten pawilon Oto jedna z redakcyj lwowskich pism, której współpracownicy mają zapewne tyle wspólnego z zoologją, ile ja z ich redakcją właśnie, pisze tak o otwarciu wystawy „Nasze lasy i ochrona przyrody": „U b r a m dawnego pawilonu centralnego wita reprezentantów rządu prezes Dyrekcji Lasów Państwowych i prosi o otwarcie pięknej wystawy leśnej gospodarki. Wspaniały okaz r y s i a na tle świerków, stanowi bramę wypadową do tej bogatej w wykresy i mapy plastyczne wystawy całego dorobku lasowego Polski" [7]). To już skandal pierwszej klasy. Zrobić bez żenady z żubra rysia, to naprawdę trzeba być całkowitym bankrutem umysłowym. — Ładny kwiatek redakcyjny!

Grubą też pomyłkę znajdujemy w Gazecie Polskiej [8]), gdzie S. M., korespondent artykułu „Nasze lasy i ochrona przyrody", wspomina wpierw o ż u b r z e, a o osiem wierszy dalej przemianował go już na „majestatycznego tura". Wiadomo jest, że żubr i tur, to nie jedno i to samo zwierzę. Podczas, gdy ród turów wyginął u nas doszczętnie, a ostatni przedstawiciel jego, jak wiemy z historji,

[2]) Dziennik Polski. Lwów, 19 września 1936.
[3]) Dziennik Polski, Lwów, 27 września 1936.
[4]) Dziennik Polski, Lwów, 29 września 1936.
[5]) Dziennik Polski, Lwów, 4 października 1936.
[6]) Ilustrowany Kurjer Codzienny Nr. 274 z dn. 2.10.36 r.
[7]) Chwila Nr. 6271, Lwów, 6 września 1936 r.
[8]) Gazeta Polska, Warszawa, 17 września 1936 r.

padł w XVI wieku z ręki króla Zygmunta Augusta, to żubr jednak, choć za parkanem, żyje przecież dotąd w Polsce i nikomu nie przyjdzie na myśl nazwać go turem.

Jeden jeszcze ciekawy, a zarazem smutny objaw zaobserwowałem na wystawie. W Polsce nie ma dla kogo wydawać pism, broszur, czy też książek o treści łowieckiej. Przez 24 dni po 12 godzin dziennie stał w pawilonie łowieckim do dyspozycji kulturalnych myśliwych kiosk księgarni Gubrynowicza, bogato wyposażony w polskie i obce wydawnictwa myśliwskie. Nie wielu było takich, którzy tu przystanęli zaciekawieni, a jeszcze mniej tych, którzy cokolwiek tu nabyli. Święty Hubert, któremu w opiekę oddają się myśliwi, wyruszający na łowy, i którego proszą o łaskę, sam u tych polujących nie zaskarbił sobie ani wdzięczności, ani łaski. Oto na tym stoisku księgarskim, na widocznym miejscu wystawioną była rzecz nowa i świeża, a mianowicie piękny i barwny linoryt, wykonany przez Lelę Pawlikowską, przedstawiający patrona myśliwych — cena 7.50 zł.; sprzedano dwa egzemplarze!...

Jeśli już jestemy przy św. Hubercie, to podać należy, że skromny olejny obrazek Jego, pędzla hr. Krasickiej, widniał wśród trofeów Stanisława i Ludomira Cieńskich; inż. Franciszek hr. Zamoyski wystawił miedzioryt Albrechta Dürera (1471—1528), przedstawiający św. Eustachego, pierwotnego patrona naszych myśliwych, wreszcie w nadzwyczaj interesującym stoisku wytwórni ozdób rogowych St. Janochy (Łaziska-Srednie, pow. Pszczyna), oglądaliśmy widzenie św. Huberta w postaci wieńca jelenia z krzyżem pośrodku. Tyle o kulcie św. Huberta; nie wiele to, lecz zawsze więcej, niż na dotychczasowych wystawach i pokazach łowieckich.

Przy sposobności wspomnieć muszę, że na całych Targach Wschodnich myśliwy nie znalazł dla siebie żadnej pamiątki do nabycia w postaci swego patrona, względnie jelenia hubertowskiego. W pawilonie porcelany z Pacykowa zwracałem na ten fakt uwagę, jak również licznym jubilerom oraz wystawcom różnych przedmiotów z drzewa, poddawałem myśl, by na ich wyrobach, jak szkatułki, tace i t. p., malować czy też rzeźbić widzenie św. Huberta, względnie inne sceny myśliwskie, co tak łatwe jest do wykonania, a czego brak jest zupełny w Polsce. Propozycję moję przyjęto wszędzie z prawdziwym zainteresowaniem i obiecano mi zadowolić w przyszłym roku na Targach Wschodnich ogromne rzesze myśliwych i miłośników przyrody. *Qui vivra, verra.* Sądzę, że w tym kierunku i przy każdej sposobności powinni agitować myśliwi.

Praktyka życiowa wskazuje, że najwięcej eksponatów nadsyła ta połać kraju, która ma najbliżej do miejsca wystawy. Tak też było i w tym roku. Jakkolwiek na wystawie lwowskiej reprezentowany był cały teren naszego państwa, to siłą faktu przeważały trofea wystawców z Małopolski. Odezwy pism łowieckich i pokrewnych, nie pozostały bez echa, odniósł też zwycięstwo ideowy szermierz dobrej sprawy łowieckiej, Michał K. Pawlikowski, który nawoływał do wysłania eksponatów do Lwowa, aby „myślistwo ziem północno-wschodnich nie świeciło, jak dotąd, kompromitującą nieobecnością".

A teraz notatka dla bibliofilów. Dla orjentacji zwiedzających wystawę, wydano katalog wspólnie z przewodnikiem po wystawie „Nasze lasy i ochrona przyrody", gdzie katalog łowiecki zajmuje objętość od strony 95 do 205, ponadto ta druga część łowiecka wyszła oddzielnie i to w dwóch wydaniach; pierwsze w oprawie zielonej, liczące 112 stron, drugie zaś wydanie katalogu, poprawione i ze zmienionym układem, w oprawie kremowej, stron również 112. Autorem bezimiennej przedmowy w katalogach jest Albert Mniszek, redaktor „Łowca"; dla dekoracji zamieszczono dwie fotografie ze wspaniałej kolekcji Włodzimierza Puchalskiego, mianowicie: „Podsłuchy" i „Czapla siwa". Cena tych katalogów wynosiła 50 gr.

I jeszcze dwie delicje, przysmaczki: baron Groedel wydał bibliofilski druczek w dwóch odmianach, zawierający 7 stron, a noszący na białej kartonowej okładce napis: „Łowiska Br. Groedlów". Odmiana tego druku polega tylko na innej okładce z czerpanego kartonu, na której poza herbem Groedlów widnieje też kolorowa mapka w podziałce 1:375.000, przedstawiająca rewiry łowieckie Skole-Groedlowo.



Z rykowiska w Skotnikach 1936 r. Kapitalne byki, 14-tak i 12-tak, ubite przez Szambelana Szymona Karskiego.

Wreszcie zaopatrzyć się można było na tej wystawie w drukowaną ulotkę p. t. „Hodowla, prowadzona przez inż. H. Knothe w łowisku polno-leśnem".

Z dostojników państwowych zwiedzili wystawę p. Minister Przemysłu i Handlu Roman oraz p. Wicepremjer Minister Kwiatkowski. Obu witał Juljusz hr. Bielski, prezes M.T.Ł. Panu ministrowi Kwiatkowskiemu, który dłuższy czas zabawił na wystawie, chodząc od stoiska do stoiska, udzielał informacyj inż. Tadeusz Sroczyński, gospodarz wystawy.

Sroczyński... zaiste temu człowiekowi o mrówczej pracy, człowiekowi „z wiary", jak to mówi lwowiak, a na którego wąskich barkach spoczywało całe urządzenie wystawy z jej najdrobniejszymi szczegółami, ma M.T.Ł. kolosalnie wiele do zawdzięczenia. On to był bowiem duszą całej wystawy, jej *spiritus movens.* Byłem przy urządzaniu tej wystawy od pierwszych chwil i z podziwem obserwowałem spokój tego człowieka, z jakim odpowiadał setkom przeróżnych interesantów. I każdemu umiał dogodzić. W powietrzu krzyżowały się ciągle biegnące z różnych zakątków wołania: „Sroczyński"! Słowem tym przesiąkły ściany tak dalece, że gdy pawilon opustoszał w dwa dni po zamknięciu wystawy, a ktoś zawołał „Panie Gospodarzu!" lub „Kto tu gospodarzem?", to odpowiadały mu ściany głuchym echem: „Sroczyński". To także wielka podzięka, a tem milsza, że od martwego objektu pochodząca.

Kończąc moje reminiscencje z tej bogatej i naprawdę atrakcyjnej wystawy, ustalić należy, że stworzona siłami polskich myśliwych impreza lwowska, miała pełne powodzenie, jako wymowny obraz dorobku naszej bezsprzecznie dobrej gospodarki łowieckiej oraz jako unaocznienie najszerszym sferom społeczeństwa różnorodności i bogactwa fauny ojczystej i sposobu jej zużytkowania. Urządzona wystawa łowiecka była godnym uwieńczeniem uroczystości, jakie w tym roku miały miejsce z powodu 60-letniego jubileuszu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.



Chorostków ord. M. Siemieńskiego. Wyjazd na polowanie z ogarami.

SIEROTKA.

Gdy ją postawiono na ziemi, zachwiały się nieporadnie bambusowe nóżki, zastukały kopytka, lakierowany pyszczek wysunął się naprzód, a wielkie, bezdennie smutne oczy napełniły się łzami.

Czujne, cieniem bramowane uszki, pełne były jeszcze przerażającego gwaru i hałasu. Pamięta, razem uciekały — matka i ona. Pomykała za nią nieprzytomna ze strachu, migały jej w oczach na płowem tle dwie białe rozety, rozpuszone śnieżystą bielą. Więc pędziła co sił za matką.

Serce, oszalałe z trwogi, biło — zdawać się mogło, że wyskoczy za chwilę, a nóżki nie mogły już nadążyć, robiły się sztywne i nieposłuszne.

Wtem potknęła się, w przerażonych oczach zawirowała ziemia i uderzyła, jak twardy kamień, w głowę. Nie wie, czy długo leżała, posłyszała jeszcze tylko trzask gałęzi i głos, jakby z myśliwskiego rogu wydarto najżałośniejszą nutę. Zadrżała, ten głos przeszył ją całą, dotarł do głębin serca i pozostał na zawsze.

Była sierotą.

Nie widziała już krwawiących świeżą posoką pysków ogarów, nie dojrzały jej oczy wstążeczki rubinowej krwi wśród złotych liści — nie wiedziała, że straciła matkę.

Potem dobre ręce uniosły ją w górę, lecz jednocześnie obca, niepokojąca woń człowieka napełniła nozdrza. Zadrżała, wielki strach kazał bić sercu tysiącem młoteczków, by za chwilę łopotać, jak wielkie skrzydła. Lakierowany pyszczek z białą bródką zaczął drgać, jak u dziecka, które za chwilę wybuchnie płaczem. Wszystko było obce i zatrważające, nawet głaszcząca futerko ręka była twarda i szorstka. Pamiętała pieszczotę inną — ciepłego lizania matki.

I w tej chwili z głębi serca wypełzł ból bardziej zrozumiały, realny i określony ból — głód. Więc z gardła wydarła się krótka skarga, jedna nutka rozpłynęła się, jak dźwięk trąconej struny — cisza ją wchłonęła — nie było odpowiedzi.

Podsunięto miseczkę, coś bieliło się na spodzie i pachniało ładnie. Już — już zdawało się, że lakierowany nosek zanurzy się, gdy wtem za oknem rozległo się szczekanie, więc w obłędnym strachu skoczyła naprzód, wydzierała się rękom, biła głową, starała się odpchnąć od siebie tych wrogów — płacz, skarga wypełniły okrągłą szyję.

Takie było pierwsze zetknięcie się małej sierotki z życiem.

Powoli, powoli oswajała się sarenka, najpierw poznała i pokochała pieszczotliwe dłonie, osłuchała się z głosami domu, lubiła pić słodkie mleko. Bała się z początku bronzowej miseczki, więc dawano jej mleko w płatkach róży, piła wtedy chciwie, wyciągając wdzięcznie szyję — może przypominało jej to ciepłe, pachnące łono matki.

Lubiła też jeść kwiaty: mały pyszczek z wdziękiem chrupał rezedę, nasturcję o specyficznym zapachu, wyciągał się kształtny łebek w stronę znajomej ręki, a oczy patrzyły ciepłą, aksamitną smugą, w rozumnem skupieniu.

— Co macie tam dla mnie — pokażcie?

Czasami jednak z przekorą przyjmowała dary, wyrzucając głową, węsząc nieufnie, nie ruszając się z miejsca nawet na wołanie, lecz potem, po namyśle dawała się znów pieścić — przecież była tylko małem dzieckiem.

Na oknie, w doniczkach, czerwone wabiły pelargonje, ku nim wznosiły się łzawe oczy, ta czerwień, podobna do krwi, nie budziła strachu.

Krokami wielkiemi przeszedł czas — do małego serduszka wpłynęło dobroczynne zapomnienie.

ZOFIA KELUS-LIPKOWSKA.

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

Żegnany serdecznie, ściskając dłonie tych gościnnych, arcymiłych, prostych ludzi, zbierałem się w drogę powrotną. Łysy bez reszty Sam, zawsze poważny i zadumany oliwkowy Parker, rudowłosy Roy, Inga, Karol i Lined, matka rodu Larsenowa, wszyscy na prześcigi starali mi się dogodzić. Każdy oddzielnie chciał bagaże moje i paki ułożyć i zabezpieczyć przed daleką podróżą.

W przeddzień wyjazdu Sam — gitarzysta, wiedząc, że sprawi mi tem przyjemność, w ogólnej izbie czeladnej urządził koncert-monstre. Nie skąpił nam swego talentu. Jeszcze daleko po północy rozlegało się jego jodlowanie, przerzucił cały repertuar pieśni i romansów bądź jako solista, bądź też w chórze z Karolem i Royem.

Zlekka pochlipując, mój *boy friend* Lined upewniał się po raz setny, czy napewno napiszę do niego *from Poland*. Mam pewne dane, aby podejrzewać, że chodziło mu raczej o znaczki pocztowe, o kolekcjonowaniu których już coś słyszał, niż o wiadomości ode mnie. Widocznie już sobie uplanował, że skoro, dajmy na to, za „Kongo z małpą" czy też „Gwadelupę z fortepianem" kuzyn jego z Lon Bute mógł otrzymać latarkę elektryczną, to za polskie *stamps* dostanie on conajmniej nóż myśliwski.

Tak czy owak całe jego postępowanie wskazywało na to, że — jak kpił „dady" — „*his heart is broken*" — to serce jest narazie złamane.

A Inga zapewniała mnie, że cios dla tego chłopca jest tak silny i odczuje go tak tragicznie, że po moim wyjeździe Lined straci apetyt conajmniej... na 2 godziny. Słowem — rejwach w „ranchu", zgiełk i ogólne „good luck".

Stary Larsen próbuje raz jeszcze kusić mnie, opowiadając, jakie też cuda oczekiwałyby tu wiosną.

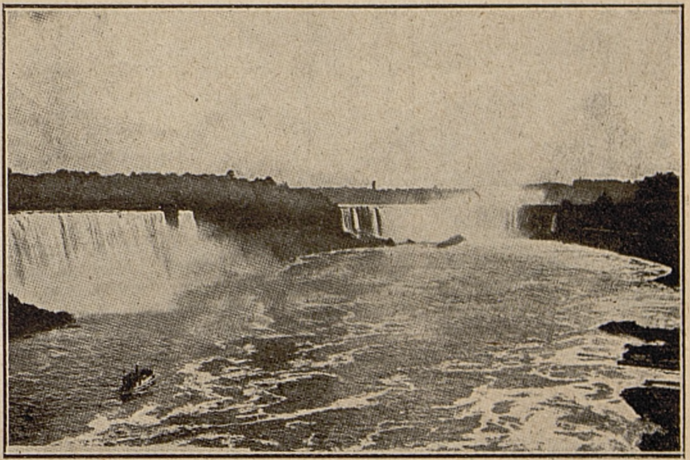
— I wogóle poco... wracać? Bierz tu zaraz za mną kawał ziemi, buduj chałupę, będziemy sąsiadami. Europe Europe — co ci po Europe. Zostań u nas. Za dwa, trzy lata sprowadzisz sobie tutaj z Polski swoich i będziesz „rancherem" tak, jak i ja... Co cię tak ciągnie do „old country"? Prędzej czy później w Europie za łby się wezmą. A jak się wreszcie szczepią po raz drugi — o boy! *Hell* — piekło tam będzie. My się w to już pchać nie będziemy, niema głupich. Ostatnie wścibianie nosa w cudze sprawy, djablo mało Amerykę i Kanadę obchodzące, wiele nas nauczyło — wyraża opinję ogółu stary „boss". — Zostań tu, będziemy gospodarzyć. Ziemi starczy dla nas obydwu. Zwierza w boru i ryb w strumieniach też jest dość. Dla ludzi, którzy są już tutaj i na roli się osiedlają, rządy prowincjonalne są bardzo życzliwe. Boimy się tylko łazików europejskich, którzy prą ku miastom, wzmagając bezrobocie. Ale tych, którzy mają zamiar pracować na roli, czy jako hodowcy, czy też jako farmerzy — rolnicy, Kanada chętnie gości. Nasza Brytyjska Kolumbja o powierzchni 360.890 ang. mil kwadratowych ma zaledwie około siedemset pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, z których czterysta pięćdziesiąt tysięcy mieszka w samem Vancouver, lub w bezpośredniej jego bliskości. Reszta prowincji, o obszarze trzykrotnie większym od Polski, jest prawie bezludna. Można się tu rozwinąć, rozprzestrzenić, ludzie z inicjatywą mają tu pole do pracy i łatwo potrafią się wybić.

Odprowadza mnie za „ranch" cała kawalkada. Siedząc w samochodzie obok Karola, rozglądam się i wdycham nektar tego powietrza, zlekka pomieszanego z zapachem smarów i benzyny. Nasuwa to już reminiscencje zbliżania się w strony osiadłe, cywilizowane. Czuję, że trzeba się pożegnać na długo, a może i na zawsze z odgłosami kniei, z ciszą i smętkiem błot rozległych, z echem dolin i ośnieżonych gór niebotycznych, z pluskiem jezior i szumem wodospadów.

Trzeba się będzie pożegnać na zawsze z życiem na dziko, które mi tak odpowiadało i tyle bogatych a niecodziennych wrażeń mi dostarczyło. Z życiem, gdzie nie pogoń za rekordem, ale najprawdziwsze, najgłębiej odczute i przetrawione umiłowanie przyrody w jej pierwotnych przejawach pędziło mnie w najnieprzystępniejsze zakamarki. Pragnąłem zbliżyć się do natury, wniknąć w jej tajniki, poznać jej najprawdziwsze, nieskażone żadnym wysiłkiem mózgu ludzkiego oblicze.

Tam dopiero odczuwałem to cudowne zadowolenie z wdychania świata pełną piersią, to mi dawało najistotniejszą radość bytu.

W dwa miesiące później, wracając przez Stany Zjednoczone, nie oparłem się pokusie wstąpienia do Buffalo, aby obejrzeć tylokrotnie opisywane już wodospady Niagary.



Wodospady Niagary ze strony kanadyjskiej.

O ile ze strony kanadyjskiej potęga tego widoku, ledwie ujęta w karby nowoczesnej techniki, grzmot olbrzymich mas wodnych, ich piana i rozpryski miljonów kropel, różowione refleksami słonecznemi, czynią dosyć silne wrażenie, o tyle ten sam widok ze strony Stanów Zjednoczonych, z Buffala, na wielbicieli niefałszowanego piękna przyrody robi wrażenie wprost ohydne. — Już zanadto człowiek wtrącił się i wykorzystał dla swoich celów ogrom tej potęgi i energji skoncentrowanej, zgromadzonej ongiś chaotycznie przy tym olbrzymim naturalnym spadku.

Na całej długości biegu rzeki po stronie Stanów Zjednoczonych okolica została zamieniona w piękny park pod nazwą Prospect Park, w którym znajduje się kamień pamiątkowy, stwierdzający, że w r. 1678 Jezuita Ojciec Henypinn był pierwszym białym, który oglądał wodospad Niagary. Inaczej on musiał wówczas wyglądać, niż obecnie, kiedy za centy wykupuje się kartę wstępu. Siada się w windę i, czytając całą masę pouczeń, napisów i wszędobylskich, natarczywych, wrzaskliwych reklam, zjeżdża się w dół do krytego „hallu", skąd wychodząc na rodzaj tarasu z barjerą, widzi się wodospad. Widzi się, jak ujęty w ryzy, obmurowany i scementowany ogrom wód, grzmiąc i hucząc, spada, mącony utartemi i wyświechtanemi okrzykami zachwytu turystów, chowających się przed pyłem wodnym do krytego pomieszczenia.

Ma się mniej więcej to samo wrażenie, jakie odczuwa alpinista, który, osiągnąwszy w Szwajcarji trudny jego zdaniem szczyt, czyta na jednej ze skał wołowej wielkości litery reklamy, zachęcającej do spożywania czekolady Sucharda!

Nie, to nie jest i nie może być pięknem natury, tego nie można porównać żadną miarą z zakątkami Tchentlo, Chuchi i Tsayta Lake. Cóż za wspaniały widok stanowią te kompleksy mniejszych lub większych jezior, oprawionych kopulastemi szczytami, lub też poszarpanemi dawną erozją urwiskami. W zwierciadle ich wód odbijają się jodły, świerki, czarne olchy, lub smutne, pokędzierzawione, srebrzyste brzozy.

Tu — grzmiący odgłos wodospadu dysharmonizowany jest wrzawą i zgiełkiem ruchliwego miasta; tam — conajwyżej szum skrzydeł ciągnących ptaków, rżenie łosia, lub donośny wrzask nura, nie zakłócając, przetykają spokój i powagę pierwobytu, a szara mgła, fjoletowe opary, białe gwiazdki puchu śnieżnego, haftują misternie ten czarowny nie do opisania krajobraz.

Niagara Falls, nieskuty i nieokiełznany, bezsprzecznie z zachwytu mógł tamować dech w piersi, obecnie spełnia wyłącznie funkcję olbrzymiego zbiornika energji, wykorzystanego, przynajmniej po stronie Stanów Zjednoczonych, do ostatnich granic możliwości.



Praktyczni farmerzy pobudowali te „camps"...

Ośmiocylindrowy, warkoczący z wysiłku motor, omotane łańcuchami koła ciągną po nieprzetartym jeszcze, ale już osiadłym i zamarzniętym śniegu. Jadę w strony, gdzie mam widoki ulokowania się w którymś z autobusów, idących do Vancouver. Karol jest dobrym kierowcą. Doskonale panuje nad wozem na licznych wirażach i ostrych zakrętach. Szczęśliwie pogoda znów się ustala i dzięki temu od dłuższego czasu niekursujące autobusy podejmują znów swoją zwykłą drogę. W Barkerwille przesiadam się na autobus.

W okolicach Kamloops — Ashcraff śnieg bieleje już tylko w górach. Im bliżej Vancouver, tem cieplej i mniej śniegu. Jedziemy przez najbardziej żyzne i najgęściej osiedlone ziemie Brytyjskiej Kolumbji. Okolica ta słynie z pięknych sadów owocowych. Znowu przebłyskuje w dole kapryśny, wiecznie zagniewany, toczący hen do Pacyfiku swe żółte wody Fraser River.

Dziesiątki i setki drewnianych schludnych domków przy kapitalnie utrzymanej drodze asfaltowej służą wycieczkowiczom za bardzo umiarkowaną cenę, jako schroniska. Praktyczni farmerzy tutejsi pobudowali i wystawili te „camps". Wiosną, latem lub jesienią, liczne rzesze wydalających się poza obręb miasta turystów, czy też myśliwych na ptactwo, znajdują w nich wygodne pomieszczenie. Często też widuje się na skraju głównej arterji, lub na pobliskiej polanie, samotnie pozostawione auto z dwukołową, wygodną, krytą przyczepką, służącą za sypialnię. Właściciel najpewniej udał się z psem i strzelbą wgłąb zagajników w poszukiwaniu zwierzyny. Nemrod ten może być zupełnie spokojny o dobytek, pozostawiony w swojem schronisku czy też automobilu. Wykupiwszy sobie za skromną opłatą dwóch i pół dolara sezonową kartę łowiecką, poluje on na grousy, bażanty i kuropatwy.

Hungarian partridge — European gray partridge — nasza kuropatwa około roku 1908 została po raz pierwszy sprowadzona do Alberty, w okolice Calgari. W ciągu piętnastu lat doskonale się zaaklimatyzowała i osiedlana w kierunku północnym aż do Edmonton i na wschód aż do centralnych połaci Saskaczewan, rozmnożyła się. Dwanaście lat temu poczynione zostały z doskonałym rezultatem próby osiedlenia jej na żyznych, południowych połaciach Manitoby. Wcześniej jeszcze, bo w 1905 roku, osiedlają kilkaset par tego miłego i pożytecznego ptaka na wyspie Vancouver i pobliskim lądzie stałym północnej części stanu Waszyngton. Stamtąd kuropatwa rozprzestrzenia się na żyznych, urodzajnych glebach Okanagan.

Trzydzieści lat temu zostaje po raz pierwszy do Brytyjskiej Kolumbji sprowadzony z Chin, ściślej z Szantungu, bażant, który najlepiej z całej Kanady czuje się wzdłuż wybrzeży Fraser River i w południowych połaciach prowincji Ontario. Skrzyżowany wielokrotnie z innemi gatunkami, wytworzył typ tak skomplikowanie ubarwiony, że tylko wybitny ornitolog, specjalista tego gatunku, może odróżnić konglomerat ras, jakie się złożyły na wytworzenie tego rodzaju bażanta.

Dla ścisłości należy tu podać, że już przedtem bażanty były sprowadzone ze wschodnich Chin, Mandżurji i Mongolji w rozmaitych okresach czasu i do różnych prowincyj, ale z nikłemi rezultatami. Na dobre zaaklimatyzował się dopiero gatunek, stanowiący rezultat skrzyżowania angielskiego bażanta *(Phasianus colchicus)* z bażantem z Szantungu. Ten rodzaj jest obecnie licznie reprezentowany w Okanagan i wzdłuż Fraser.

Był okres, że nadmiar bażantów zagrażał farmerom w uprawach warzyw i niektórych gatunków szlachetnych nasion. Praktyczny Kanadyjczyk, dla którego „biznes" jest zawsze czynnikiem dominującym, prędko sobie jednak z tym kłopotem poradził. Dostało się przytem i kuropatwie. Obecnie nasilenie ilościowe tych kurowatych mocno jest przerzedzone.

Mam wrażenie, że, o ile bażant napewno szkodził uprawom, szczególnie w ogrodnictwie i warzywnictwie, to niewinna i pożyteczna kuropatwa, spożywająca masy robactwa i owadów, padła raczej ofiarą zachłanności strzeleckiej.

Należy dodać, że wykupiona przez cudzoziemca karta łowiecka, która kosztuje dziesięciokrotnie drożej od karty obywatela kanadyjskiego, wyraźnie zabrania polowania na bażanty. Zakaz ten jednak nie jest dla myśliwego zbyt przykry, jeżeli się weźmie pod uwagę, że europejskiego sportsmena ptak ten ze zrozumiałych przyczyn jak najmniej interesuje. Może dowoli użyć sobie na „grousach", które znakomicie smakują i doskonale uzupełniają obozową kuchnię. Zresztą tam, gdzie się rozpoczyna polowanie na grubego zwierza, bażantów nie spotyka się. Pozatem za specjalną dopłatą dziesięciu dolarów do karty łowieckiej, jeżeli mu nie żal garderoby, może i do bażantów strzelać.

Naturalnie, mowy niema o tem, aby mógł marzyć o tych rezultatach, jakie osiągnąłby przy tym samym nakładzie energji w kulturalnych łowiskach europejskich. Nielada bowiem wysiłku użyć trzeba, łażąc po plątaninie haszczów i po nierównościach tamtejszych terenów.

Jary, przecinające wybrzeże Fraser, są zarosłe taką gmatwaniną kolących krzewów i są wskutek tego tak trudno dostępne, że już przez to samo tworzą najdoskonalsze warunki bytowania i naturalne remizy dla tego ptaka. Toteż, mimo obfitości drobnych drapieżników i zachłanności Kanadyjczyków na białe mięso, stan bażanta jest więcej niż zadowalający.

(C. d. n.) M. G.

CZY ROZWÓJ ROSOCH U ŁOSI JEST ZAGADNIENIEM RASY, CZY TEŻ ODŻYWIANIA?

Według rozpowszechnionego wśród myśliwych i przyrodników mniemania istnieją dwie odmiany łosia europejskiego: łoś leśny — o ciemnem zabarwieniu ciała, wysokich białych nogach i rosochach w kształcie łopat z krótkiemi pasemkami, oraz łoś błotny — o skórze jaśniejszej, niższych badylach i rosochach typu jeleniego t. j. o długich odnogach, bez rozszerzenia łopatowego. Krzyżowanie tych dwóch odmian daje typ pośredni, najczęściej spotykany, posiadający rosochy w postaci słabej łopaty o długich pasemkach. Dążąc do otrzymania typu łosia najbardziej zbliżonego do ideału, a więc o potężnych łopatach, stosuje się w Prusach Wschodnich systematyczny odstrzał byków o rosochach typu jeleniego, t. zw. badylarzy, w przeświadczeniu, że w ten sposób osiągnie się zachowanie czystej odmiany łosia leśnego, łopatacza.

Hipoteza o istnieniu dwóch odmian łosi i o możliwości utrzymania odmiany łopataczy wyłącznie przez odstrzał badylarzy, jest jednak kwestjonowana. Ciekawy przyczynek do tego zagadnienia znajdujemy w artykule pod wyżej przytoczonym tytułem p. Hansi, zamieszczonym w Nr. 29 tygodnika „Wild und Hund" z r. b.

Autor, będący od lat 20 leśniczym w rezerwacie lasowym w Prusach Wschodnich, przytacza następujące swoje obserwacje.

1. W latach o łagodnej zimie i wczesnej wiośnie spotykano podczas rui zawsze dużo młodych łosi o ładnych łopatach, wówczas gdy po zimie surowej i późnej wiośnie przeważał typ badylarza.

2. W pewnej izolowanej części rewiru łosiego, gdzie młode byki mają poddostatkiem paszy wyborowej w postaci owsa, wyki, buraków na sąsiadujących z rewirem polach — liczba łopataczy jest wybitnie duża.

3. W innej części tegoż rewiru, aby odstręczyć łosie od niszczonych przez nie pól, właściciel zastosował t. zw. „Kornitol", którego zapachu łosie nie znoszą. Od tego czasu łosie w tej części rewiru osiągały poroże tylko typu jeleniego.

4. Łoś hodowany długie lata w ogrodzie zoologicznym w Królewcu, ale żywiony nieodpowiednio, miał wygląd mizerny i rosochy szpiczaka. Po przeprowadzeniu go do Willkühnen, majętności hr. Dohna, i zastosowaniu intensywnego odżywiania, osiągnął w krótkim czasie masywne poroże 12-ka, aczkolwiek jeszcze o budowie jeleniej.

5. Cielęta łosia, przetransportowane do zwierzyńca w Schorfheide i żywione tam w sposób racjonalny z zastosowaniem paszy treściwej, wykazują wszystkie skłonność do rozwijania łopat na rosochach.

Na podstawie powyższych obserwacyj p. Hansi wnioskuje, iż budowa rosoch łosia zależy w pierwszym rzędzie od warunków odżywiania. Kapitalne byki— łopatacze z Tawellminken, z Ibenhorst i z Rautenburga zawdzięczają swoją formę wyjątkowo obfitej w tych leśnictwach paszy naturalnej, sprzyjającej rozwojowi masy rogowej. Dzięki swemu rozrostowi fizycznemu, odpędzają one skutecznie słabsze sztuki z sąsiednich rewirów, które też nigdy ani wzrostem, ani potęgą i kształtem rosoch dorównać im nie mogą.



Inż. dr. Leon Ossowski z wieńcami 16-ka, ubitego w Bielsku na Pomorzu, na tegorocznem rykowisku. Waga 8,2 kg.
Fot. K. Koschembar-Łyskowski.

Opinję tę autora podtrzymuje w całości taki znawca hodowli łosia, jak wzmiankowany wyżej hr. Dohna. Twierdzi on, że łosie, które w młodości uległy chorobie gardła, nigdy nie wykształcą łopat, zaś łosie w młodości źle odżywiane, tracą zdolność zdobycia — nawet po znalezieniu się w lepszych warunkach — rosoch naprawdę pięknych. Warunki, w jakich kształtuje się pierwsze poroże, są zazwyczaj decydujące na całe życie. Opierając się na powyższem, autor przychodzi do przeświadczenia o bezpośrednim związku, istniejącym pomiędzy warunkami odżywiania i zdrowotności, a rozwojem rosoch łosia. Toteż sądzi, że bezwzględny odstrzał łosi o słabej budowie, i to zarówno byków, jak łoszy i cieląt, przy równoczesnem dożywianiu pozostałych, powinien wkońcu doprowadzić do otrzymania jednolitego typu mocnych łopataczy. Natomiast sam odstrzał badylarzy, bez eliminowania słabych łosz i bez zapewnienia dobrych warnuków paszy, wyników dobrych nie da.

Jak widzimy z powyższego, dotychczasowej hipotezie istnienia dwóch odmian łosi przeciwstawia się pogląd, że rasa łosi jest jedna, a odmienność budowy ciała i rosoch zależy wyłącznie od warunków zdrowotnych i odżywiania.

Oczekujemy, że w tej interesującej sprawie zabiorą głos nasi znawcy i hodowcy łosia.

J. GIEYSZTOR.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na miesiąc grudzień.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH.

PROTOKÓŁ WALNEGO ZGROMADZENIA WOJEWÓDZKIEJ RADY ŁOWIECKIEJ I DELEGATÓW ODDZIAŁÓW POWIATOWYCH W. R. Ł. W BIAŁYMSTOKU Z DNIA 4 LIPCA 1936

Obecni: Przedstawiciel PZSŁ p. Jerzy Dylewski, 14 delegatów Powiatowych Rad Łowieckich, 3 delegatów Powiatowych PZSŁ oraz Zarząd W. R. Ł.

Obrady zagaił i przewodnictwo Zgromadzenia objął II wiceprezes Zarządu W. R. Ł. p. inż. K. Komierowski, witając wszystkich przybyłych na Walne Zgromadzenie. Sekretarzował p. Br. Szczotkowski. Przed przystąpieniem do obrad przewodniczący udekorował i wręczył dyplomy Złotych Medali Zasługi Łowieckiej pp. Nadl. Iglikowskiemu i B. Szczotkowskiemu.

Protokół z poprzedniego Walnego Zgromadzenia został przyjęty.

Następnie p. Komierowski złożył szczegółowe sprawozdanie z dokonanych prac w łonie Zarządu, wyjaśniając, że brak widocznych wyników tej pracy tłomaczyć należy stanem przejściowym w organizacji władz centralnych w Warszawie, jako też stanem wyczekiwania na mającą się ukazać znowelizowaną ustawę łowiecką. Tem niemniej Zarząd w ciągu okresu sprawozdawczego wykonał wszystkie uchwały poprzedniego Walnego Zgromadzenia i wnioski Oddziałów Powiatowych, jakie wpłynęły w ciągu roku.

Za najpoważniejszą i w rezultatach najkorzystniejszą akcję, wykonaną przez Zarząd w okresie sprawozdawczym, uważa współpracę nad zbadaniem i uzupełnieniem projektu statutu Polskiego Związku Łowieckiego, do którego Zarząd wniósł szereg wniosków i poprawek, a które częściowo zostały uwzględnione przez Centralę. Na Walnem Zgromadzeniu w Warszawie, w obradach nad nowym statutem z ramienia W. R. Ł. brali udział pp. Stetkiewicz i Komierowski. Dzięki wniesionym poprawkom przez Zarząd W. R. Ł. strona finansowa Oddziałów Powiatowych została dostatecznie zagwarantowaną w kierunku korzystniejszym, niż początkowo Centrala to ujęła w pierwszym projekcie statutu.

Nowy statut władz łowieckich, wprowadzając dobrze pomyślaną organizację myśliwych, wspólnie z mającą się ukazać znowelizowaną ustawą łowiecką, pozwoli na prace realne, a w wynikach swych pomyślne dla rozwoju łowiectwa.

P. B. Szczotkowski zobrazował prace kancelaryjne i stan finansowy W. R. Ł., przyczem scharakteryzował niedostateczny stopień zorganizowania niektórych Oddziałów Powiatowych, dopatrując się przyczyny w tych niedociągnięciach w braku chętnych organizatorów myśliwych.

Pan Rakowski w związku z odczytanym protokółem Walnego Zebrania z roku 1935 zapytuje, czy: 1) Zarząd W. R. Ł. poczynił starania, aby opiekę nad terenami sprawowali z urzędu sołtysi, 2) czy starał się wpłynąć na wysokość wymierzanych przez władze kar za przestępstwa ustawy łow., 3) czy i jakie wyniki dały ewentualne starania co do upoważnienia delegatów W. R. Ł. do popierania spraw karnych w sądach i 4) dlaczego nie zorganizowano dnia przeciwkłusowniczego na terenie województwa.

Pan Szczotkowski na powyższe pytania udzielił odpowiedzi: 1) co do zlecenia ochrony nad terenami sołtysom uzyskał Zarząd w Wydziale Samorządowym informacje, iż właściwie dozór należy do sołtysów jako przedstawicieli władzy samorządowej najniższego stopnia, 2) wysokość kar została uregulowana zarządzeniami PP. Ministrów Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych, które nejednokrotnie publikowane były w „Łowcu Polskim", 3) co do występowania delegatów W. R. Ł. w sądach, to przepisy sądowe dopuszczają do rozpraw w charakterze oskarżycieli właścicieli względnie dzierżawców terenów łowieckich, lub z urzędu występują w tych sprawach przedstawiciele policji, 4) dnia przeciwkłusowniczego nie organizowano, gdyż, jak praktyka wykazuje, przy obecnej prawie ogólnej obojętności myśliwych, impreza ta nie dałaby pozytywnych wyników w rozmiarach, jakie pragnęlibyśmy uzyskać.

Następnie na poprzednio już zgłoszony przez p. Świdę wniosek pp. delegaci Powiatowych Oddziałów W. R. Ł. złożyli sprawozdania z działalności oddziałów, w następującej kolejności: 1) p. Łazuk, 2) p. Janowski, 3) p. Komierowski, 4) p. Iglikowski, 5) p. Sobociński, 6) Świda. Ze sprawozdań tych wynika, że prace oddziałów idą w terenie w różnym stopniu natężenia, w zależności od stopnia zainteresowania ogółu myśliwych. Przeważnie jednak prace są prowadzone dzięki energji, zrozumieniu i ofiarnej pracy zaledwie kilku jednostek.

Do pkt. 4. Po odczytaniu protokółu Komisji Rewizyjnej i zobrazowaniu pracy W. R. Ł. przez p. Rakowskiego Walne Zebranie jednogłośnie uchwaliło Zarządowi absolutorjum.

Do pkt. 5. Preliminarz budżetowy po omówieniu poszczególnych pozycyj przez p. Szczotkowskiego został przez Walne Zebranie uchwalony według projektu Zarządu. Z uwagi na to, że Zarząd W. R. Ł. nie ma poważniejszych wydatków, na wniosek członka Zarządu p. B. Szczotkowskiego uchwalono składkę na rzecz W. R. Ł. obniżyć do 1 zł. rocznie od każdego członka.

Do pkt. 6. P. K. Komierowski obszernie i szczegółowo zapoznał obecnych z zasadami nowej organizacji W. R. Ł., jako Oddziału P. Z. S. Ł., w myśl nowo uchwalonego statutu. Prace nad reorganizacją Oddziałów Powiatowych na terenie działalności W. R. Ł. będą przeprowadzone po uzyskaniu dalszych dyrektyw od P. Z. S. Ł.

P. Komierowski po stwierdzeniu konieczności jak najszybszego zrealizowania nowego statutu P. Z. S. Ł. postawił wniosek, aby: „Walny Zjazd Wojewódzkiej Rady Łowieckiej postanowił połowę rzeczywistych wpływów, otrzymywanych ze składek członkowskich, Oddziały przelały w roku 1936/37 do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, a to w myśl nowego statutu. Z pozostałej połowy Oddziały Powiatowe R. Ł. obowiązane będą przekazywać do W. R. Ł. w Białymstoku po jednym złotym od każdego swego członka, zatrzymując resztę dochodów do własnej dyspozycji Oddziałów Powiatowych".

Wniosek ten przez zebranych został przyjęty.

Do pkt. 7. Wobec zdekompletowania Zarządu i Komisji Rewizyjnej W. R. Ł. p. Komierowski prosi o dokonanie uzupełniających wyborów, w wyniku których zebrani jednogłośnie wybrali:

na prezesa — p. prok. Olgierda Stetkiewicza, na wiceprezesa — p. Karola Szagona, starostę pow. w Białymstoku, do Komisji Rewizyjnej — p. Stanisława Łazuka, adwokata, p. Stefana Salmonowicza, lekarza, na zastępcę — p. Jana Glinkę.

Do pkt. 8. P. Sadowski zgłasza wniosek, aby W. R. Ł. wystąpiła do miarodajnych czynników z wnioskiem o zmianę przepisów dla czyścicieli miejskich w tym sensie, by psy myśliwskie nie były chwytane i przez czyściciela zabijane, a w wypadku schwytania psa myśliwskiego przez czyściciela, aby był on zwracany na żądanie właścicielowi z tem, że ewent. ponosi on karę pieniężną stosownie do orzeczenia władz administracyjnych. Wniosek został przyjęty.

P. Sadowski wnosi również o poczynienie starań o zwolnienie od podatków właścicieli psów myśliwskich. Wniosek został przyjęty.

P. Łazuk zgłosił wniosek: W. R. Ł. poczyni starania w kierunku przeniesienia województwa białostockiego do klasy IV podatku od terenów łowieckich. Wniosek został przyjęty.

P. Świda ponowił wniosek Zarządu Oddziału Pow. W. R. Ł. w Wołkowysku, aby spowodować przedłużenie czasu ochronnego na zające w powiecie wołkowyskim o 2 tygodnie, czyli by zamiast obecnie obowiązującego terminu ochrony od 1.II do 15.X. obowiązywał od 1.II. do 1.XI. Przyczem wniosek uzasadnia następująco:

a) katastrofalny stan zajęcy w powiecie,

b) sąsiednie województwa poleskie i nowogródzkie mają ochronę obowiązkową od 1.II do 1.XI. czyli na polowaniu, które w pow. wołkowyskim zaczynają się o 2 tygodnie wcześniej — zjeżdżają się wszyscy najbliżsi sąsiedzi wymienionych obszarów,

c) masowo stosuje się sposób polowania na deptaka i w ciągu ciepłej jesieni wybija się wszystkie napotkane zające.

Wniosek ten został przyjęty.

P. Świda postawił wniosek, aby dla celów wychowawczych szerokich mas myśliwych i informowania ogółu o ważniejszych sprawach, dotyczących łowiectwa, zapoczątkować wydawanie kwartalnika.

Po przedyskutowaniu tego wniosku postanowiono, aby w miarę możności projekt ten urzeczywistnić.

Po wyczerpaniu porządku dziennego i wolnych wniosków, p. Jerzy Dylewski stwierdził, że widzi na terenie Rady rzeczową i troskliwą pracę nad podniesieniem łowiectwa i życzy zebranym dobrej i zgodnej współpracy nad dalszym rozwojem zapoczątkowanych prac.

Na tem posiedzenie zamknięto.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU MOŚCISKA.

Sprawozdanie z powiatu mościskiego (woj. lwowskie) pojawia się w czasopismach łowieckich przypuszczalnie po raz pierwszy, a przynajmniej nie pamiętam, aby w czasach powojennych jakiekolwiek wieści o łowiectwie z tutejszego powiatu były ogłaszane.

Rzeczywiście nic godnego, ani też chwalebnego dla gospodarki łowieckiej podać się nie da, jakkolwiek położenie topograficzne i geograficzne powiatu oraz jego gleba i zalesienie mają warunki na dobry stan zwierzyny łownej, czego dowodem są sprawozdania z kilku obwodów łowieckich, podające ciekawe rezultaty.

Powiat mościski graniczy od wschodu z powiatem gródeckim, od południa — z rudeckim i samborskim, od zachodu — z przemyskim, a od północy — z jaworowskim. Przez środek powiatu od wschodu ku zachodowi przepływa niewielka rzeka Wisznia, wpadająca już w powiecie przemyskim do Sanu. Większych stawów lub jezior niema. Gleba — przeważnie piaszczysta na północ od rzeki, a przeważnie czarnoziem często mokrawy (Mokrzany) na południe. Zalesienie, w północnej części powiatu dobre, jest w jego południowej części dla hodowli zwierzyny łownej zbyt skąpe.

W lutym r. b. rozesłałem za pośrednictwem starostwa schemat sprawozdawczy dla posiadaczy względnie dzierżawców obwodów łowieckich.

Mimo pomocy władz administracyjnych, rezultat był marny. Na 110 zarejestrowanych w powiecie obwodów łowieckich otrzymałem zaledwie 33 wypełnione schematy.

Przechodząc główniejsze odpowiedzi na pytania zawarte w schemacie, mogę ogólnie podać, że z powodu niekorzystnych warunków aury zimowej w ubiegłym roku łowieckim, a także kryzysu — gremjalnych polowań nie urządzano, ograniczając się do polowania osób uprawnionych wraz z 2 myśliwymi.

Stan zwierzyny określono przeważnie jako niezmieniony, naogół mierny, wskutek rozpanoszonego kłusownictwa i wnykarstwa, na które skarżą się uprawnieni do polowania na następujących obwodach: Bortjatyn obwód wspólny, Dydjatycze, Makuniów, Malnowska Wola, Mistycze, Ostrożec, Starzawa i Wołczszczowice.

W sprawozdaniach z kilku obowodów skarżono się na puszczanie samopas psów podwórzowych, a w trzech przypadkach przytoczono jako powód ubytku zajęcy chorobę motylicy.

We wszystkich obwodach utrzymywano strażników łowieckich, którzy swe funkcje pełnią ubocznie, jako gajowi lub ugodzeni rolnicy, za wynagrodzeniem w naturze lub w pieniądzach w wysokości do kwoty 10 zł. miesięcznie.

Pod względem organizacyjnym znajduje się powiat tutejszy na szarym końcu, gdyż poza dwoma delegatami liczy M. T. Ł. tylko 5-ciu członków. Przy wydawaniu kart łowieckich nie zasięgało dotychczas starostwo opinji delegatów.

Z pośród gatunków zwierzyny łownej, znajdującej się w powiecie, ubito w okresie łowieckim t. j. w czasie od 1 marca 1935 do 29 lutego r. 1936 — według wspomnianych wyżej 33 sprawozdań następującą zwierzynę:

jeleni: 3 (Radochońce, hr. Stadnickiego),
sarn-kozłów: 74,
dzików: 1,
zajęcy: 803,
kuropatw: 483
przepiórek: 68,
bażantów: 9,
dzikich kaczek: 31,
lisów: 34,
szkodników czworonożnych: 217,
ptaków szkodliwych: 378.

Powyższe cyfry dotyczą 33 obwodów, a ponieważ w powiecie jest 104 zarejestrowane obwody, przeto dla uzyskania cyfr z całego powiatu należałoby je potroić.

Podane daty, jako oparte na sprawozdaniach, nie obejmujących całego powiatu, nie mogą dawać obrazu rzeczywistych, ba, nawet przybliżonych rezultatów łowieckich, jednak pozwalają wnioskować, że w powiecie mościskim są warunki hodowli zajęcy, a przedewszystkiem kuropatw, gdyż poza sprawozdaniami ubocznie doszło do wiadomości, że samo towarzystwo myśliwskie „Żubr" ze Lwowa miało w roku sprawozdawczym na rozkładzie przeszło 400 sztuk kuropatw, upolowanych w gminach, leżących w powiecie. Bowiem tereny piaszczyste, suche, a obsiane gęsto łubinami, są doskonałemi ostojami dla tych przemiłych ptaków.

Stwierdzono, że niektórzy uprawnieni do polowania właściciele obwodów własnych (powyżej 100 ha) nie zarejstrowali jeszcze dotychczas swoich obwodów jako samoistnych, wskutek czego są narażeni, że ich obwody mogą być włączone do obwodu wspólnego i wydzierżawione, coby było połączone ze szkodą dla stanu zwierzyny łownej, zwłaszcza, że niektóre z nich mają nawet znakomity stan zwierzyny. Także nie jest zarejestrowany obwód wspólny w Królinie i Księżym Moście, chociaż prawo polowania bywa tam wydzierżawiane.

Należy również zauważyć że nie wszyscy wykonujący w powiecie polowanie są zaopatrzeni w nieprzeterminowane karty łowieckie, a niezawodnie ich pozwolenia na broń muszą być przeterminowane. Jako jednak znamienną rzecz, wypada podnieść, że są dzierżawcy polowania, którzy kart łowieckich nie wykupili, ale nadal tereny łowieckie dzierżawią i polowanie wykonują. Zważywszy, że opłaty od kart łowieckich powinny wpływać na podniesienie kultury łowieckiej, że polujący bez karty łowieckiej poluje, jak kłusownik, nielegalnie i że w takich stosunkach trudno jest zwalczać kłusownictwo i wnykarstwo, sądzimy, że przeprowadzenie kontroli przez władze administracyjne za pośrednictwem policji państwowej wyszłoby na korzyść kultury łowieckiej w powiecie.

Tak przedstawia się szkic gospodarki łowieckiej w powiecie. Gdy się uwzględni, że dopiero w tym roku wpłynięto na wydanie energicznych zarządzeń w kierunku śledzenia i karania kłusownictwa i wnykarstwa, że pouczono uprawnionych do polowania zabijać psy niemyśliwskie, włóczące się w obwodzie w odległości bliższej jak 300 metrów od zabudowań gospodarskich, lub 30 metrów od drogi publicznej, to można mieć nadzieję, że choć odrobinę stosunki się poprawią.

W kierunku organizacyjnym zamierzone jest zwołanie zjazdu łowieckiego powiatowego celem omówienia spraw łowieckich i poinformowania o powstaniu Polskiego Związku Łowieckiego, przewidującego Powiatowe Rady Łowieckie, które oby dały podstawę organizacji łowieckiej ogólnej tak potrzebnej w naszych zacofanych stosunkach łowieckich.

Kto dożyje — zobaczy.

ALEKSANDER ULM,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Mościska

DOBRE I ZŁE.

P. Arkady Fiedler jest znanym podróżnikiem, a jednocześnie pisarzem, który wśród myśliwych i przyrodników zyskał sobie pochlebną kartę i osobiste sympatje czytelników.

Bo p. Arkady Fiedler umie opisywać nietylko egzotyczną przyrodę, do której czynił parokrotnie wycieczki, przenosząc się przez ocean do dzikich dżungli, stepów i gór amerykańskich krain, ale czytelnik jego przyrodniczych opisów widział w nim nieraz miłośnika zwierząt i poprawnego myśliwego.

Aż tu raptem — grom z jasnego nieba! Na nieszczęście ten grom, z panafiedlerowego sztucera wypuszczony w Kanadzie, trafia jego samego tu, na polskiej ziemi i grzmi długiem echem oburzenia w uszach wszystkich myśliwych.

Jakkolwiek z prawdziwą przykrością, jednak niczego z tych może zbyt gorzkich myśli nie cofam. Choć w swoim czasie pisałem zaszczytniejsze recenzje o działalności p. Fiedlera.

P. Arkady Fiedler zapragnął widać nagle zostać już nie zbieraczem muzealnym, lecz *pur sang* myśliwym. I jednocześnie, zmieniając nastrój swych opisów z podróży, z przyczynionych obserwacyj nad życiem egzotycznych zwierząt, zapragnął pisać „myśliwskie" wspomnienia. I to nie przysłużyło się jego dobrej sławie myśliwego.

Wpadł mi do ręki feljeton p. Fiedlera, drukowany w „Dzienniku Poznańskim" z dnia 4 listopada b. r. Dość spojrzeć na tytuł: „Zabijam niedźwiedzicę". Ale warto także przytoczyć wyjątki:

Otóż gdy niedźwiedzica została już powalona kulą panafiedlerowego sztucera (a że była to niedźwiedzica, „myśliwy" dobrze o tem wiedział, gdyż poinformował go o tem przewodnik indjanin, określając z tropów — „niedźwiedzica z piastunami"):

„Dwa pozostałe niedźwiedzie, a raczej niedźwiadki, nieprzytomne z przerażenia, rzucają się wkółko, jak opętane. Chybiam do nich. Uciekają.

Raniony niedźwiedź wgryza się w korzeń i przeraźliwie rzęzi. Pazurami szarpie ziemię. Podskakuję do niego na kilkanaście kroków i pakuję mu kulę w kark. Straszliwe łapy po chwili słabną, charkot ustaje. Ostatnim skurczem niedźwiedź wpija się szczękami w pień drzewa i tak pozostaje: z wyszczerzonemi kłami, z wywalonym jęzorem, czarny, kudłaty, groźny, wspaniały. Mam niedźwiedzia, przeszywa mnie nagła radość. Jest to niedźwiedzica. Druga kula strzaskała jej kręgosłup.

Tymczasem piastuny nie uciekły daleko. Ukryły się w pobliskich krzakach. Stamtąd rozlega się nagle ich krzyk. Zawodzą głośno i żalą się. Jest to płacz rozdzierający i przenikliwy. Targa nerwy. Tak samo rzewnie płaczą dzieci ludzi, gdy je spotka krzywda. Zrazu słucham zdumiony, po tym gaśnie mi radość; odzywa się sumienie, wzbiera w sercu gorycz.

Niedźwiadki nie milkną; wciąż zanoszą się od skarg. Ogarnia mnie w końcu wściekłość. Na siebie i na nie. Z nabitą strzelbą pędzę w las. Zwierzęta są czujne. Umykają niespostrzeżone wgłąb puszczy i dopiero z wyższych stoków, z daleka, odzywają się, w nowym przypływie rozpaczy.

Gdy wracam na polanę, jestem rozbity i przygnębiony".

To, do czego przyznał się publicznie sam autor — nie wymaga żadnych komentarzy. Jakkolwiek etyka myśliwska w Kanadzie różni się może od naszej rodzimej i to tak dalece, że dozwolone jest zabijanie samic od młodych, to jednak, mojem zdaniem, p. Fiedlera, jako Polaka, pomijając wszystko inne, obowiązywały i tam zupełnie inne zasady myśliwego i przyrodnika.

Powiedzmy, że popełnił nieostrożność, że poniosła go zbyt gorąca krew i przeżywane emocje, pocóż jeszcze gonił „ze strzelbą w ręku" za drobiazgiem, za niedźwiadkami?! Rozumiem, gdyby usiłował te niedołężne dzieci próbować pojmać, by je ratować od głodowej śmierci... W tem miejscu nasuwa się pewna wątpliwość. Z opisu zachowania się zwierząt przez p. Fiedlera wynika, że były to niewątpliwie malutkie tegoroczne niedźwiadki przy matce. Tymczasem gdzieindziej nazywa je piastunami (rocznemi niedźwiadkami), ale to chyba tylko nieznajomość terminologji łowieckiej.

Wprawdzie p. Fiedler kończy swój opis ekspjacją żalu i goryczy do samego siebie za to, co popełnił, czyż jednak nie należało raczej odrazu od polowania odstąpić, gdy z tropów odczytał jego przewodnik, z jakim zwierzem mają do czynienia?...

WUZET

WRAŻENIA PORYKOWISKOWE Z KARPAT.

Od tygodnia ciężkie mgły-chmury śniegowe zasnuły cały horyzont karpacki. Przepiękny, złocisty wrzesień znikł, jak senne marzenie, pod przedwczesną powłoką zimową. Prysnął czar nastrojów rykowiskowych.

A tak ślicznie się zaczynało! Górą — na szafirowem tle jęły ciągnąć falangi gęsi i żórawi, swym tęsknym klangorem żegnających się z krajem... Dołem — ciągnęły poczty myśliwych z pod najtwardszego znaku, których tygodnie najcięższych podchodów nie straszą, a nęci nieokiełznana nadzieja zdobyczy najwyższej klasy myśliwskiej.

Już z samym początkiem września zjawili się ci najdoświadczeńsi i dopiero gdy cały tydzień październikowych śniegów ostudził zapały najgorętszych byków, gdy knieja zamilkła, jakby zasmucona zbyt wczesnym płaszczem zimowym — z niej ustąpili.

Tacy to myśliwi przez swoją obecność i osobistą ochronę są prawdziwymi hodowcami jeleni karpackich w ich najgłębszych ostojach. Boć to jest ochrona w porze, gdy ta najponętniejsza zdobycz i dla kłusownika jest dostępniejszą, gdyż nietylko wrodzona czujność i ostrożność zwierza znacznie słabnie pod władaniem rozbudzonego instynktu rozrodczego, ale każdy taki byk miejsce swego postoju głośno podaje temu, kto chce go podchodzić. To jedna racja dbającego o swój rewir myśliwego, by w całym tym okresie osobiście się nim opiekować; ale jest i druga, bodaj że ważniejsza jeszcze dla hodowcy. Oto pora rui jest najdogodniejszą do przeglądu i zapoznania się ze stanem jeleni. Mając dobre szkła, można bez niepokojenia zwierzyny zlustrować każdego meldującego się byka, ocenić jego przydatność do dalszego rozwoju, czy to osobistego, czy jako rozpłodowca i dac mu placet na dalszy w rewirze pobyt, czy też przeciwnie, ujemnie oceniając, przeznaczyć dlań — kulę. Przegląd ten, ponieważ widzi się w tym okresie także zgrupowania łań i młodzieży, pozwala wyrobić sobie zdanie o stosunku ilościowym obojga płci do siebie i stąd ewentualnie o potrzebnych krokach regulacyjnych.

To są czysto hodowlane czynności, ale czyż na nich się kończy ten przegląd? Trzeba przecież zbadać czy znane byki, prowadzące swój harem w poszczególnych ogniskach rykowiska, stoją jeszcze na wysokości fizycznych zdolności (jeżeli grozi im już wstecznictwo), a młode wodzireje — cech, na które stać daną knieję.

W pierwszym wypadku, po stwierdzeniu, że jest godny następca, czas znowu na kulę z pełnem poczuciem, że to nietylko już dojrzała najwyższa do podjęcia zdobycz myśliwska, ale i zabieg gospodarczy.

Czyż to dla myśliwego-hodowcy nie przepiękny miesiąc?

I jakby takim opiekunom umiały być wdzięczne Karpaty, gdyby ich jak najwięcej tylko było!

Niestety, od lat kilkunastu mieszkając przy karpackim wale, nietylko w jakości zwierza widzę degrengoladę, ale i u łowców! Zaledwie jednostki spotyka się tylko z tego starego, przedwojennego typu!

Obecny zwykły najazd rykowiskowy — to raczej małe „veni, vidi, vici!" dokonane z chłopem, podprowadzającym do „ryczącego" — i powrót do miasta z porożem... A knieja tymczasem żyje samotnie swem zmarnowanem życiem. Zmarnowanem, bo nikt jej cudów nie podziwia, nikt nie chroni!

Przemysł tylko wdziera się w nią coraz głębiej, kłusownik coraz śmielej.

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI

SPROSTOWANIE.

W Nr. 32 „Łowca Polskiego" zamieściliśmy na stronicy tytułowej ilustrację, reprodukowaną z piórkowego rysunku artysty-malarza, A. Jakimczuka.

W podpisie pod tą ilustracją wkradł się błąd w nazwisku autora, co niniejszym prostujemy.

WYSTAWA OBRAZÓW „NASZE LASY I OCHRONA PRZYRODY".

Potrzebnym, a zarazem wysoce wartościowym uzupełnieniem wystawy „Nasze lasy i ochrona przyrody", urządzonej na Targach Wschodnich, była odrębna i za osobną opłatą zorganizowana wystawa obrazów, ilustrująca nie tylko lasy i przyrodę, ale także motywy łowieckie. Wystawa ta była początkowo pomieszczona w salach wystawowych Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, następnie przeniesioną została na plac Targów Wschodnich do 9-tego pawilonu. Zorganizowaną ona została z inicjatywy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie oraz Izby Przemysłowo-Handlowej we Lwowie.

Wystawa ta poza wspaniałymi pejzażami leśnymi zawierała też wiele scen interesujących myśliwego. Juljusz Hawel wystawił trzy obrazy o temacie łowieckim: polowanie na kaczki, polowanie na dziki i nastrojowy olej „na ciągu słonek". Ten ostatni temat przedstawił też Stefan Domaradzki. Włodzimierz Siwierski, naturalista, zademonstrował udatnie cykl akwarel z Puszczy Białowieskiej; tu oko myśliwego wynajduje swe specjalności, jak „Żubry", „Myśliwy z psem", „Powrót z mokrym głuszcem" oraz olej „Polana wilków". Wreszcie oglądaliśmy tu dobrze znaną naszej publiczności z poprzednich wystaw piękną tekę myśliwską, zawierającą dziesięć autolitografij Kazimierza Sicharskiego. Do najlepszych zaliczyć należą plansze: ryś, dzik, lis, świetne wilki, oraz gajowy-hucuł.

Dla wygody zwiedzających wybito tani katalog (20 gr.), który zawierał ogółem 120 pozycji. Dobrą stroną katalogu było podanie cen poszczególnych eksponatów, z których znaczna większość była do sprzedania. Jednakże ruch był minimalny, choć wielu było chętnych... Ogólne zubożenie społeczeństwa wystąpiło tu w całej pełni.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

AERODYNAMIKA W PRZYRODZIE

Mało kto zwraca uwagę na podobieństwo, zachodzące pomiędzy ruchami samolotu, a ptaków, zwłaszcza drapieżnych.

Np. puhacz, kania i orły, dzięki rozpiętości skrzydeł, nie posiadają zdolności szybkiego manewrowania w przestrzeni niewielkiej, t. j. szybkich zwrotów, podobnie jak wielki dwupłatowiec. Natomiast jastrząb o krótkich stosunkowo skrzydłach i długim ogonie (sterze) przypomina zwrotny samolot pościgowy. Oba zarówno starają się na zdobycz uderzać z góry. A gołąb (werfel), a do pewnego stopnia kobuz, lub jaskółka? Czyż to nie typowe maszyny akrobacyjne?

Orzeł, nie mogąc unieść ciężkiej kozicy, strąca ją nagłem uderzeniem w przepaść i tam ją pożera. Istny taran latający, czy pancernik.

Cichy, niski, prostolinijny lot sów — przy nieznacznem zużyciu siły napędowej, przypomina żywo bezmotorowe szybowce.

Strategja łowiecka pierzastych drapieżników polega bądź na rekognowskowaniu t. j. upatrywaniu zdobyczy i ataku z góry (orzeł, kania, sokół, krogulec), bądź też z ukrycia (jastrząb).

Niezmiernie ciekawą dla aerodynamika byłaby obserwacja pierzastych drapieżników podczas rekonesansu i łowów, w związku z budową ich ciała, a zwłaszcza skrzydeł, ich rozmiarów i kształtów. Nie są one bowiem niczem innem, jak napędową śrubą, wiosłem, hamulcem, lub spadochronem. Pióra skrzydeł, czy ogona są podobnie, jak żerdziny skrzydeł płatowca, obliczone na najwyższą odporność na złamanie, przy najniższej wadze materjału budowlanego. Świst skrzydeł ptaka lecącego pozwala się domyślać, że przy ruchu naprzód pióra się rozsuwają, przepuszczając powietrze (stąd świst), przy ruchu zaś wstecz, czyli przy zabieraniu powietrza pod siebie, zwierają się.

W. K.

BILANS AUDYCYJ ŁOWIECKICH ROZGŁOŚNI POMORSKIEJ W R. 1936.

Rozgłośnia Pomorska w Toruniu umieściła w r. 1936 w programie swym stosunkowo dużą ilość audycyj o charakterze łowieckim. Wszystkie te odczyty wygłoszone zostały przez wiceprezesa Pomorskiego Tow. Łowieckiego w Toruniu, Dr. Inż. Leona Ossowskiego.

W styczniu „Zimowe dokarmianie zwierzyny w lesie"; w lutym „Szkody wyrządzane przez zwierzynę łowną"; w marcu „Kłusownictwo"; w kwietniu „Rolnik — myśliwym hodowcą"; w maju „Głusze tokują na Pomorzu"; w czerwcu „Bulwa i jarmuż dla zwierzyny łownej"; w lipcu „Łowy — latem"; w sierpniu „Rabusie"; we wrześniu „Wielkie łowy"; w październiku „O danielach"; w listopadzie „Kult św. Huberta na Pomorzu" i „Jesienne prace łowieckie".

Program na grudzień zapowiada „Łowiectwo w grudniu".

Dyrekcji Rozgłośni Pomorskiej należy się za tak życzliwe ustosunkowanie się do łowiectwa szczere podziękowanie.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

DEUTSCHE JAGD.

Nr. 28/1936, str. 537. R. Menger *„Wypadki na polowaniu"*. — Autor, stary praktyk, dzieli się wspomnieniami o wypadkach na polowaniu, pochodzących z niedostatecznie ostrożnego obchodzenia się z bronią, lub też z powodu strzałów w warunkach nieodpowiednich. Dość częste wypadki zachodzą np. z powodu *przedwczesnego nabijania broni.* Przy zaciągnięciu kotła nie należy strzelby załadowywać wcześniej, jak po odejściu przynajmniej 100 kroków od punktu rozchodzenia się myśliwych. Wystarczy bowiem pośliźgnięcie się myśliwego, lub zacięcie strzelby, by nastąpił strzał, grożący kalectwem zgrupowanych w oczekiwaniu swej kolejki myśliwych. Bardzo niebezpiecznemi są strzały do bażantów, porywających się z niskich kultur lub zarośli i ciągnących niewysoko. Normalnie należy je strzelać poza linją myśliwych, ale obawa, aby nie sprzątnął ich sąsiad, podnieca niedość opanowanego myśliwego — i wówczas o nieszczęśliwy wypadek nietrudno zarówno w stosunku do naganki, jak i do myśliwych na linji. To samo da się powiedzieć o polowaniach w terenie nierównym. Bez względu na to, czy naganka wspina się w górę, czy też schodzi w dół, zachodzi zawsze niebezpieczeństwo porażenia jej śrutem, jeżeli się będzie strzelało bez uwzględnienia koniecznych warunków ostrożności w zależności od stanowiska, na którem się stoi. Szczególnie łatwo o wypadki na polowaniach na króliki. Wielka ich ruchliwość i duża ilość działają podniecająco na myśliwych i przy niedostatecznem opanowaniu mogą łatwo doprowadzić do strzałów ryzykownych. W niektórych łowiskach, aby ułatwić myśliwym strzały do królików, stosowane jest rozciąganie przed linją drutu. Pomijając już niezbyt myśliwski ten zabieg, staje się on często przyczyną niebezpiecznych rykoszetów śrucin, odbijających się od drutu i trafiających bądź myśliwych, bądź naganke.

WILD UND HUND

Nr. 28/1936, str. 465. Grode *„Polowanie w pojedynkę na zająca"*. — Kto nie ma dużych łowisk, albo gdzie zwierzostan nie pozwala na masowe wybijanie zajęcy w kotłach, tam można z powodzeniem i bez skrupułów co do rzekomej „niewłaściwości" polować na zające w pojedynkę, na pomyka. Piśmiennictwo fachowe stwierdziło już wielokrotnie, że teza o mocniejszem zaleganiu, a więc i częstszem padaniu przy takiem polowaniu samic nie znajduje potwierdzenia. Ponadto polowanie na pomyka nie może mieć miejsca zbyt często, i przy przestrzeganiu zasadniczego warunku: oddawaniu strzału tylko na bliską metę nie przyczyni napewno takich szkód w zwierzostanie, jak polowanie w kotły, lub z naganką. Póki na polach stoją jeszcze łubiny, koniczyny czy seradela, można zająca wydeptywać, ale ciekawszem jest podchodzenie go na upatrzonego. Przy pewnej wprawie, albo przy pomocy szkieł rozgląda się uważnie podorywy i wypatruje zająca w legowisku. Należy go wtedy obchodzić, ostrożnie kołując i starać się podejść możliwie blisko, gdyż strzał w tył do uchodzącego zająca daje należyty efekt tylko na bliską metę. Strzelać na dalszą odległość — powyżej 20 m. — można tylko do boku wyrywającego kota. Dla myśliwych o słabym wzroku łatwiejszem jest wypatrywanie zajęcy z początkiem rui, t. j. od ostatnich dni grudnia, kiedy zające są w ciągłym ruchu. Wówczas też łatwo odróżnić gacha, uganiającego się za samicą i odstrzeliwać tylko samce, co ze względów hodowlanych jest ze wszechmiar pożądane. Specjalny urok posiadają wreszcie polowania na zasiadkę, na skraju lasu, przed wschodem słońca. Zające wracają wówczas z pola do kniei i strzał kulą z broni małokalibrowej do wynurzającego się z mgły kota daje emocję nie mniejszą, niż do kozła*).

J. G.

---

*) Ale dużo postrzałków. (Przyp. red.).

KŁUSOWNICTWO.

Z CIESZYŃSKIEGO.

Od dłuższego czasu na terenie łowieckim w Hażlachu dawała się silnie odczuć obecność kłusowników. Strzałów nie słyszano, co też utrudniało wykrycie rejonu kłusowniczego i kłusowników. Okazało się, że kłusownicy wybierali się na „łowy" w dni mżyste, z psami i strzelali z flowerów. W nocy wybierali się na łowy w kilku, przyczem jeden oświetlał drzewa reflektorem, drugi zaś strzelał do bażantów na drzewach. W nocy też wychodzili z reflektorami w pole i łowili przy nich zające.

Szajkę kłusowników stanowili: Tomica, Parchański, Łabudek, Stuchlik; wszyscy z Kończyc.

Ostatnio jednak jakoś szczęście opuściło nieuchwytnych kłusowników, gdyż:

1) Tomica otrzymał na terenie Kończyc postrzał śrutowy w plecy i już od kilkunastu dni leży w szpitalu w Cieszynie, mając równocześnie zasłużony odpoczynek po kłusownictwie.

2) Łabudek w dniu 22 paźdz. b. r. został pochwycony na kłusownictwie przez mojego gajowego, Pawła Żyłę, z Hażlach; Żyła odebrał Łabudkowi strzelbę, przyczem nie obyło się bez bójki, w której Żyła otrzymał silne uderzenie lufą strzelby przez ucho i głowę, doznając przecięcia ucha i zranienia głowy. Żyłę opatrzono w szpitalu w Cieszynie.

3) W dniu 24 paźdz. b. r. na tym samym terenie pochwycono Stuchlika, który z psem urządził sobie polowanie na bażanty. Niestety, nie zdołano go pochwycić, gdyż w ostatniej niemal sekundzie wpadł do stajni gospodarza Gałuszki w Hażlachu i zdołał strzelbę zarzucić. Dla zatuszowania sprawy proponował pomocnikowi gajowego zapić sprawę w pobliskiej karczmie.

4) Znany na tutejszym terenie jako kłusownik, Karol Machej, odsługujący wojsko w 4 p. s. p. w Cieszynie, otrzymał urlop zdrowotny. Urlop ten wyzyskiwał Machej na kłusownictwo. Gajowemu Żyle udało się przychwycić go na tym procederze. Sprawę tę prowadzi żandarmerja wojskowa 4 p. s. p. w Cieszynie. Dochodzenie w reszcie spraw prowadzi posterunek pol. p. w Pogwizdowie pod kierunkiem p. przod. Mitręgi.

Widziano też chodzącego ze strzelbą niejakiego Ćwięczka, ale winy kłusownictwa mu nie dowiedziono. Nadmienić należy, iż kłusownicy wymienieni pod 1, 2, 3 i 4 to ludzie, którzy zażywają bardzo złej sławy, którzy przed niczem się nie cofają. Niektórzy z nich mają też już na sumieniu nietylko kłusownictwo, ale i kradzieże, zwłaszcza kur i gęsi. Są też oni postrachem tamtejszej ludności i nawet dalszych okolic.

Przypuszczać należy, że o ile sąd ukarze winnych należycie, to spokój zapanuje na jakiś czas na terenie Hażlachu i okolicy.

MGR. ANTONI GUZY

(-zet-) Na gajowego Tomalskiego, zamieszkałego we wsi Sieraków, gminy Przyrów, pow. częstochowskiego w swoim czasie dokonano skrytobójczego zamachu, strzelając doń z broni myśliwskiej przez okno.

Po upływie jakiegoś czasu policja aresztowała pod zarzutem dokonania tego zamachu niejakiego Władysława Kapkowskiego, znanego w okolicy kłusownika i złodzieja leśnego.

Sąd Okręgowy w Częstochowie skazał Kapkowskiego na 12 lat więzienia, poczem sprawa z apelacji znalazła się w następnej instancji i Sąd Apelacyjny Kapkowskiego uniewinnił.

W drugiej połowie października b. r. zgłosił się do sędziego śledczego Boguckiego jeden z przestępców i złożył zeznanie, stwierdzające winę Kapkowskiego. Proponował on mianowicie komuś wynagrodzenie za zgładzenie innego gajowego, Gawrońskiego, który go schwytał kiedyś w lesie na kradzieży. Pozatem Kapkowski miał chwalić się, że dokonał zamachu na Tomalskiego, opisując wszystkie szczegóły swego przestępstwa.

Sędzia Bogucki zarządził natychmiastowe aresztowanie i osadzenie Kapkowskiego w więzieniu.

*

(-zet-) Patrol policji państwowej z posterunku w Dobrowoli pow. wołkowyskiego przy pomocy gajowych dokonał obławy na kłusowników na obszarze Puszczy Świsłockiej.

Rezultatem obławy było ujęcie jednego tylko kłusownika, niejakiego Jana Jegorowa ze wsi Kaczki, prócz tego natknięto się jeszcze na dwu innych, lecz ci zdołali ujść.

(-zet-) W końcu października b. r. w lesie prywatnym, należącym do maj. Siemkowice pow. Wieluńskiego, padł ofiarą zbrodniczego zamachu gajowy Edward Szubert.

Na zwłoki Szuberta natknięto się w lesie podczas specjalnych poszukiwań, zarządzonych na skutek zaginięcia gajowego bezpośrednio po jego wyjściu na obchód rewiru.

Szubert został zamordowany z rewolweru, strzałem w głowę, a następnie jego zwłoki porzucono w gęstwinie leśnej.

O zbrodnię podejrzani są miejscowi kłusownicy, których Szubert prześladował.

*

(-zet-) W lasach maj. Czarnożyły pod Sieradzem, gajowy Stanisław Olesiński natknął się na wnykarza, zastawiającego sidła na zwierzynę. Gdy zdemaskowany wnykarz rzucił się do ucieczki, Olesiński pogonił za nim, niestety jednak przestępca zdołał ukryć się w zaroślach tak dobrze, że go gajowy nie zdołał odnaleźć i zmuszony był wreszcie zaniechać poszukiwań.

Gdy Olesiński wracał do domu, nieujawniony osobnik, ukryty w krzakach, dał w kierunku niego strzał z dubeltówki, którym gajowy został ciężko ranny i upadł na ziemię, brocząc krwią i wzywając pomocy.

Na krzyk o ratunek, pośpieszyli przechodzący opodal włościanie, którzy następnie wezwali lekarza i zaalarmowali policję.

Olesińskiego odwieziono w stanie ciężkim do szpitala, za zbrodniarzem zaś zarządzono pościg. W rezultacie zatrzymano niejakiego Franciszka Sobczaka, zamieszkałego we wsi Kąty, którego osadzono w areszcie śledczym.

* * *

(-zet-) Pechowo rozpoczęli sezon polowań na zające dwaj znani kłusownicy, bracia Jan i Piotr Cołkowie. Późnym wieczorem na terenie wsi Mienia, w pow. mińsko-mazowieckim, uganiając się z pasją za kotami, obaj bracia postrzelili się wzajemnie.

Piotr Cołek ranny został w klatkę piersiową, a Jan — w nogi. Ciężko rannego Piotra umieszczono w szpitalu w Mińsku Mazowieckim.

Obaj Cołkowie karani byli sądownie już kilkakrotnie nietylko zresztą za kłusownictwo.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniu 4 i 5 listopada odbyło się polowanie w 9 strzelb w dobrach Słupia Macieja ks. Radziwiłła, pow. stopnickiego. Ogółem ubito 1043 szt., w tem 5 lisów, 3 słonki, 106 kuropatw, 14 bażantów, 15 królików i 900 zajęcy.

Najwięcej na rozkładzie miał Hieronim ks. Radziwiłł (szt. 184).

Na podjazdach rogaczy w tychże dobrach (6 — 9 sierpień b. r.) ubito 26 kozłów, w tem 2 nagrodzone na tegorocznej wystawie łowieckiej we Lwowie.

W dniu 6, 7 i 8 b. m. Nadniemeńskie Kółko Łowieckie polowało na terenach Siemiatyckich przy udziale około 20 strzelb. Ubito: 2 dziki, 5 lisów, 3 rogacze, 4 cietrzewie, 4 jarząbki, 1 słonkę, 80 zajęcy.

— W Siemianicach u Marji hr. Szembekowej polowano w 10 strzelb w dniach 4 i 5 listopada b. r.

Ubito: 3 lisy, 150 zajęcy, 494 bażanty, 14 kuropatw, 67 królików i 6 różnych; razem 734 sztuki.

TREŚĆ NUMERU:

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. GRymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Koszutowski, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa